



Anna Rau FOTOMONTER VII

Antykwariat pana S.

Jeszcze tak niedawno na jednej z głównych ulic Olsztyna działał antykwariat. Był mityczny – do dziś jest mityczny – choć czasy były antymityczne a mgielne, trzeźwe i czujnie mierzące przyszłość spod przymrużonych powiek. Antykwariat mierzył czas innym spojrzeniem, a raczej spojrzaniem. Pierwsze z nich wysyłał w przyszłość właściciel sklepu – pan S. – powiedzmy Suselko. Drugie... Właściwie to nie było spojrzenie, ale wzrok. Nieruchomy, jednostajny, niby-nieżywy, niby-nieosiągalny, niby-straszny. Ale jak tu nie być straszonym a nieruchomym, skoro nie ma się daru mowy – a serce często tak wyje...

Golem.

Właściwie to powstał przypadkiem. Jego pan sam go z gliny ulepił, a gdy dla zabawy napisał mu na czole słowo „emet” (gdyż był bardzo mądrym człowiekiem oraz wiele czytał w przeszłości) i zobaczył, że stwór zaczyna się ruszać – najpierw o mało nie dostał zawału, a potem lekko się uśmiechnął. I dał mu imię. I pozwolił pracować. Golem więc krążył między stosami kruchego papieru, wśród zbiorowiska książek, map, obrazów, rycin, kart pocztowych, między piętrowymi półkami zaplecza, gdzie Suselko przechowywał białe kruki, zszywkę archaicznych czasopism i unikalne druki. Przekładał, czyścił, ustawiał i trzepał.

- Tobie to chyba sam diabeł pomaga! Twój sklep to istny cud na naszym rynku! – zaśmiewali się znajomi pana Suselko. – Wojcieszku, jak to robisz, że się utrzymujesz z tej kupy starych papierów? – pytali goście. A pan Suselko tylko się uśmiechał i zmieniał temat, albo mówił coś o obrocie pieniądza.

Golemy tworzone są głównie do pomocy i jako strażnicy. O tak... pewien człowiek, który włamał się któreś bezgwiazdnej nocy do antykwariatu, jakże tego żałował do ostatniego momentu swego krótkiego i zakończzonego dość paskudną śmiercią życia... Legendy mówią też, że tak stworzona istota powinna być niema i bezmyślna, jako dzieło człowieka, a nie Boga. Jednak tak nie było – przynajmniej co do bezmyślności, gdyż Golem rzeczywiście nigdy słowa nie powiedział. Bezmyślny jednak nie był i wykonywał polecenia pana Suselko nie tylko sumiennie, ale czasem wręcz z polotem, jakby miał nie tylko własną wolną wolę, ale i wyobraźnię. Posiadał też imponującą, ogromną siłę, wytrzymałość i odporność, nie musiał się pożywiać, ale za to lubił przerwy, które pan Suselko sprawiedliwie mu przydzielał, mówiąc: „Każdemu, kto pracuje, należy się przerwa, a już jak ją spędzi, to jego rzecz”. Golem wtedy stawał za zastoną u wejścia do zaplecza i obserwował klientów antykwariatu. Wodził za nimi nieruchomymi oczami, aż ciarki niektórych przechodziły, choć nie wiedzieli dlaczego. Byli tacy szybcy, miękcy, różni! Głośni... Właśnie – słowa!... Jakże fascynowały go te twory samodzielne, okrągłe, szeleszczące, każde ze swoim znaczeniem, ze swoim bytem, samowładnym, przerażającym siłą rażenia.

Olsztyn, ulica 11 Listopada
(2009 r.) – „Jubiler”,
czyli kwatery dawnego
mitycznego antykwariatu.
Fot. Ryszard Sternik



Pierwszy golem został stworzony przez rabina Jehudę Löw ben Bezalela z Pragi. Gdy Golem z Olsztyna przeczytał o tym – tak, pan Suselko nauczył go czytać! – wpadł w zachwyt, a potem ogarnęła go groza: że gdy jego przodek wpadł w szal, wymordował tych, którym służył. Potem zaś, gdy przeczytał w tej samej książce, iż jest stworzony „na kształt człowieka”, poczuł coś w rodzaju dumy i przyjemności. „Człowieka” – czyli pana Suselko. Szanował go i chyba kochał jako ojca i Boga. Gdy w końcu doczytał, że nie posiada duszy i dlatego nie ma zdolności mowy, świat przestał być taki sam. Golem zaczął zachowywać się dziwnie: obrabiać swoje obowiązki bez przekonania, chować się przed stworzycielem. No i już po prostu nie mógł oderwać wzroku od kupujących! Czasami nawet tak się zapominał, że samowolnie przedłużał przerwy. Od tego czasu pan Suselko zaczął się trochę o niego martwić, ale tak czy owak interes nadal nieźle się kręcił.

Jak to się więc stało, że antykwariat nie istnieje? Golemy są niezniszczalne i wierne, ale pan Suselko sam oddał szczęście od swego sklepu. Pewnego dnia jak co dzień obserwował z zamyśleniem Golema podczas przerwy. Ten tak się oddał obserwacji widoku za oknem, zza którego biło białe światło zimowego poranka, że aż cały stał się jednym wielkim okiem. Pan Suselko podjął wtedy decyzję. Wolnym krokiem podszedł do swego niezastąpionego pracownika, niez mordowanego tragarza, idealnego sortowacza i powiedział mu jedno zdanie, które i jego serce uwalniało od coraz cięższej odpowiedzialności: „Jeśli masz taką wolę, wstań i odejź”. I Golem odszedł.

Gdy go kiedyś spotkasz w Olsztynie – a poznasz golema od razu, to pewne – a ten uklęknie, wyciągnie ręce i bez słowa wskaże napis na swoim czole – czy zmażesz „e” z dającego mu ruch i czucie słowa „emet”?...

Wydawca:

Wojewódzka Biblioteka Publiczna w Olsztynie

10-117 Olsztyn, ul. 1 Maja 5; tel. 89 524 90 32; e-mail: wbp@wbp.olsztyn.pl

Współwydawca:

Warmińsko-Mazurskie Stowarzyszenie ARESZT SZTUKI

www.aresztsztuki.republika.pl

Zespół redakcyjny: Sylwia Białecka, Iwona Bolińska-Walendzik, Anna Rau, Anita Romulewicz, Waldemar Tychek

e-mail: variart@wbp.olsztyn.pl

Grafika i skład: Przemek Kozak; kozak@sonc.pl

Druk: SOC; info@sphereoncord.com

ISSN 2080-1483

Zrealizowano przy współudziale finansowym
Samorządu Miasta Olsztyn.



- 02 Fotomonter VII
- 04 III Przegląd Wydawniczy
- 07 Poezja → Roman Maciejewski-Varga
- 08 Poezja → Marcin Cielecki
- 10 Proza → Katarzyna Enerlich
- 12 Koronkowe ryby na niby
- 15 Poezja → Charles Bukowski
- 16 Galeria VariArt-u → Robert Listwan
- 18 Galeria Art Deco
- 19 Życie literackie Działdowa
- 20 Wywiad z Tadeuszem Willanem
- 22 Piętnaście lat „Portretu”
- 25 Symbolika mowy i pisma w ikonografii
- 27 Festiwal chóralny w Barczewie
- 28 Dział wydawniczy „Pojezierza”
- 30 Felieton
- 31 Przetłomowy sezon Filharmonii

Od trzech lat w Wojewódzkiej Bibliotece Publicznej wydarzeniem września staje się Przegląd Wydawnictw Regionalnych. Dla wydawców to dodatkowa możliwość zaprezentowania swojej oferty, dla miłośników książek – oglądu rynku wydawniczego. Tematyka jesiennego VariArt-u dotyczy również wydawnictw, prasy i rynku książki. W numerze wywiad z organizatorkami Przeglądu, charakterystyka działu wydawniczego „Pojezierza”, rozmowa z wieloletnim redaktorem „Warmii i Mazur”, Tadeuszem Willanem, krótka historia „Portretu”, felietony i artykuły poświęcone sztuce ilustracji, księgarzom, wydawcom, antykwariuszom. Filozoficznie o symbolice mowy i pisma zadumał się Jędrasik...

Nie zapominamy jednak o innych nurtach życia kulturalnego – do poczytania w VariArcie poezja Romana Maciejewskiego-Vargi, wiersze Charlesa Bukowskiego w przekładzie Krzysztofa Szatrawskiego, proza Katarzyny Enerlich, recenzja poezji Marcina Cieleckiego, relacja z festiwalu muzyki chóralnej w Barczewie, prezentacje Galerii ArtDeco, nowego sezonu Filharmonii oraz życia literackiego Działdowa.

A przy okazji... Dwa lata „VariA(r)ta”!

Udanej lektury
życzy Redakcja

VariArt
pismo kulturalno-



Po trzykroć „MojeTwojeNasze”

W piątek 24 września odbył się w Starym Ratuszu doroczny – już trzeci – Przegląd Wydawnictw Regionalnych „MojeTwojeNasze” 2010. To impreza o wielkim rozmachu...

Magdalena Strzyż: Rzeczywiście. Logistycznie przygotowanie czegoś takiego jest trudnym przedsięwzięciem – 3 miesiące współpracy wielu osób, aby udał się jeden dzień imprezy. Liczba wystawców co roku oscyluje wokół dwudziestki – są tacy, którzy towarzyszą nam rokrocznie, inni się zmieniają. Impreza natomiast rozrasta się w sensie okołotargowym, uatrakcyjnia się. Warto podejmować trud jej organizacji, odwiedzają nas bowiem nowi ludzie, indywidualnie i zbiorowo, korzystają z imprez towarzyszących Przeglądowi. Niektórzy przychodzą też regularnie. Warto starać się ze względu na wydawnictwa, które dzięki nam (Wojewódzkiej Bibliotece Publicznej w Olsztynie – kom. red.) mogą bezpośrednio zaprezentować na naszych targach zarówno siebie, jak również swoich autorów.

Laureaci nagrody „Ars Libris”



Czy każde wydawnictwo może wziąć udział w Przeglądzie?

Iwona Bolińska-Walendzik: Tak, w Przeglądzie mogą brać udział wszystkie wydawnictwa albo inne instytucje o tzw. charakterze wydawniczo-dystrybucyjnym. Warunkiem jest, aby prowadziły działalność na terenie województwa warmińsko-mazurskiego.

A teraz pytanie „pomocnicze” dla tych, którzy niewiele wiedzą na temat Przeglądu – czy ma on również charakter konkursu?

Magdalena Strzyż,
Iwona Bolińska-Walendzik

I.B.-W.: Tak, Przegląd zdecydowanie ma charakter konkursowy. Organizujemy konkurs na Książkę Przeglądu ph. „Ars Libris”. W tym roku, już po raz drugi, sprzymierzeńcem imprezy został Prezydent Olsztyna, Piotr Grzymowicz, który ufundował specjalną nagrodę – okolicznościowy ekslibris, stworzony na okazję tegorocznego Przeglądu przez artystę Zbigniewa Urbalewicza.

Czy organizatorzy sami wyszukują wartościowe publikacje, „godne” nagrody Przeglądu?

M.S.: Nie, do konkursu „Ars Libris” wydawcy zgłaszają się sami. Od momentu, gdy do wydawców zostają wysłane zaproszenia, mogą oni do końca lipca zgłaszać swoje propozycje. Przy tym można proponować nawet książki, które ukazą się dopiero w sierpniu i we wrześniu.

I.W.-B.: „Ars Libris” 2010 to druga edycja tego konkursu. Głównym celem imprezy jest promowanie wydawnictw regionalnych oraz książki wartościowej merytorycznie, ambitnej, wyróżniającej się pod względem walorów literackich, edukacyjnych i edytorskich. Tylko od wydawców zależy, czy zechcą zaistnieć w ten sposób – oraz otrzymać nagrodę, zyskać lokalny prestiż. Bo nawet, jeśli książka nie zostanie laureatem konkursu, będzie o niej głośno, całość rozpropagują media, powstanie katalog...

Które publikacje zostały w tym roku nominowane w konkursie „Ars Libris”?

M.S.: Tym razem do konkursu stanęło pięć wydawnictw (spośród dwudziestu biorących udział w Przeglądzie) zgłaszając dziesięć pozycji książkowych. Były to: „Geografia pamięci i inne wiersze” Ludwika Amber (Wyd. SPP Oddział Olsztyn), „Niegocin. Szlak wodny. Ein Wasserweg” Wojciecha Kujawskiego (Wyd. Mika), „KABRA (...) – HABRA (...)” Hanny i Kazimierza Brakonieczkich (Wyd. „Borussia”), „Niedopełnieni” Reinharda Jirgla (Wyd. „Borussia”), „My, berlińczycy! Wir, Berliner! Historia polsko-niemieckiego sąsiedztwa” pod red. Roberta Traby (Wyd. „Borussia”), „Grunwald 1410 opisanie bitwy według Jana Długosza” pod red. Jana Gancewskiego (Pracownia Wydawnicza ElSet), „Setnik bajek Ignacego Krasickiego (...)” w wyborze i opracowaniu Krystyny Stasiewicz (Pracownia Wydawnicza ElSet), „Gmina Krukłanki. Historia i przyroda” Roberta Klimka, Wojciecha Rużewicza i Andrzeja Suleja (Wyd. Mantis), „Siedliska i gatunki Natura 2000” pod red. Czesława Hołdyńskiego (Wyd. Mantis) oraz „Obszary Natura 2000 w województwie warmińsko-mazurskim” pod red. Czesława Hołdyńskiego, Małgorzaty Krupy (Wyd. Mantis). Głosować można było do 24 września na stronie internetowej biblioteki oraz na kuponach wyłożonych w Starym Ratuszu.

I która z nich wygrała? Czy Panie spodziewały się wyników?

I.B.-W.: Skąd! To była do końca wielka niewiadoma. Komputerowy system głosowania pozwalał czytelnikowi oddawać głos, a głosy oddawane na kuponach wyłożonych w WBP były sprawdzone i zliczone dopiero w dniu Przeglądu, po zamknięciu głosowania.

M.S.: Książką Przeglądu, wybraną przez znawców, czyli samych wydawców, został „Grunwald (...)”, po nim, największą ilość głosów dostał „Setnik bajek (...)”, potem zaś – „KABRA (...) – HABRA (...)”.

I.B.-W.: Czytelnicy wybrali swoją książkę w odrębnym głosowaniu. Został nią „Setnik bajek” Pracowni Wydawniczej ElSet.

Jak Przegląd zmienił się w stosunku do edycji zeszłych lat?

MS: W bieżącym roku została zmieniona formuła konkursu, czytelnicy naszej biblioteki oraz internauci do tej pory wybierali „najciekawszą edytorsko” książkę, obecnie – po prostu Książkę Przeglądu. Regulamin został zmieniony ze względu na dotychczasowe doświadczenie. Głosowano częstokroć nieświadomie, pomijając główne kryterium konkursu, skupiając się wyłącznie na treści lektury. Uprościliśmy więc kategorię – można było głosować na Książkę Przeglądu – oczywiście spośród tych eksponowanych w Starym Ratuszu. Stąd też dwa głosowania: jedno Czytelników, drugie – znawców sztuki edytorskiej, czyli samych Wydawców.

Po czym poznać, iż publikacja prezentuje edytorsko wysoki poziom?

I.B.-W.: Publikacja taka ma estetyczną, ale i wyróżniającą formę, grafikę, przykuwającą oko okładkę, wysmakowane ilustracje, wyrażną, odpowiednią czcionkę, papier, porządne szycie i klejenie – a całość związana z treścią książki. To wszystko decyduje o poziomie edytorskim publikacji. Może być prosta jak „KABRA (...) – HABRA (...)”, nieduża i prosta, ale oryginalna. Nie musi być „bogata”, ale ciekawa. Przykładowo, zeszłoroczne „Aleje przydrożne. Historia, znaczenie, zagrożenie, ochrona” Krzysztofa A. Worobca, (red. Iwona Lizewska) były bardzo dopracowaną pozycją: miały ważną i interesującą treść, a zdjęcia i ilustracje świetnie z nią współpracowały – ta dobra forma graficzna spajała i wieńczyła wszystko.

Skoro mówimy o dobrej formie graficznej – czy ilustracja książkowa jako samodzielna forma wyrazu była jakoś obecna podczas Przeglądu?

I.B.-W.: Od trzech lat Przeglądowi towarzyszy dobra ilustracja – na wystawach w Starym Ratuszu oraz podczas warsztatów. (W ogóle większość imprez organizowanych przez Wojewódzką Bibliotekę Publiczną podkreśla, pokazuje i promuje taką ilustrację). Każde wydawnictwo, któremu zależy na jakości swoich publikacji powinno pamiętać o ich stronie graficznej. Profesjonaliści-graficy sprawiają, że wydawnictwo żyje – przecież ilustrator jest rzeczywistym współtwórcą książki, dobudowując jej konteksty i tworząc klimat. Pomaga odnieść sukces. Nie trzeba daleko szukać – ile „zrobiły” dla poezji Krasickiego tak oryginalne i kontrowersyjne zarazem ilustracje Roberta Listwana, o których się mówi nawet na Litwie.

Czy tegorocznemu Przeglądowi przyświecało jakieś motto?

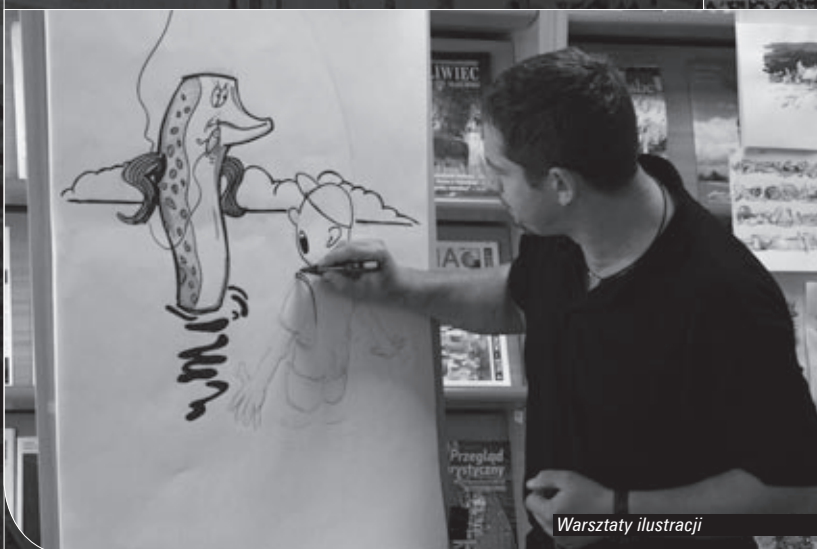
M.S.: Po pierwsze, impreza nawiązywała i równocześnie funkcjonowała w ramach Europejskich Dni Dziedzictwa. Tegorocznej edycji przyświecało hasło „Od pomysłu do przemysłu”. To pojemna fraza i mieściły się w nich proponowane imprezy okołoprzeglądowe:



Warsztaty maszynopisania

warsztaty ozdobnego pisania gęsim piórem, czy na maszynach do pisania, ale także powiązanie przeszłości z przyszłością, starych technik z nowymi, tekstów Krasickiego ze ścianą interaktywną, ilustracji Szancera i Listwana.

I.B.-W.: Właśnie, Krasicki! Całemu Przeglądowi niejako patronował w tym roku Ignacy Krasicki. Sam „Setnik bajek...” warمیńskiego biskupa pojawił się wśród książek nominowanych w Przeglądzie. Ilustracje do jego twórczości prezentowane były jako dwie wy-



Warsztaty ilustracji

¹ Kazimierz Brakoniecki, Hanna Brakoniecka, *KABRA (...) – HABRA (...)*, Olsztyn, Wydawnictwo „Borussia”, 2010.



Recital Marty Andrzejczyk

stawy: w Czytelni Książek na I piętrze oraz w Galerii Stary Ratusz. Poezja Krasickiego została też „przetransportowana” do medium nowoczesnej technologii, prezentowano ją na monitorach interaktywnych jako zabawę-rozsypankę. Ku tradycji sięgało natomiast „czytane” spotkanie z aktorem olsztyńskiego Teatru im. Stefana Jaracza, Jarosławem Borodziukiem, który odczytywał bajki Krasickiego tłumnie przybyłym dzieciom.

M.S.: Idea imprezy jest też popularyzacja regionalizmu. Przegląd jest specyficzny – tak jak swoisty charakter mają podobne przeglądy organizowane w innych miastach. „MojeTwojeNasze” nawiązuje do historii Warmii i Mazur, naszej literatury pięknej, naukowej i popularnonaukowej, nawet do smaków Mazur.

Więc do kogo głównie kierowany jest Przegląd? Do wydawców? Naukowców? Smakoszy?...

M.S.: Generalnie do „ludzi książki”: wydawców, bibliotekarzy, bibliofilów, nauczycieli, naukowców, uczniów i studentów, ale i do każdego z mieszkańców Warmii i Mazur. To dość niedzisiejsze – łączymy stare i nowe. Misja, która sięga z przeszłości w przyszłość, od Krasickiego do przemysłu.

Program Przeglądu był niezwykle wypełniony...

M.S.: Rzeczywiście, Przegląd miał charakter kiermaszu, a na tego typu imprezach zazwyczaj wiele się dzieje. Kiermaszowi towarzyszyły imprezy literacko-promocyjne (spotkania autorskie, prezentacje, wystawy, warsztaty, konkursy dla wydawców, bibliotekarzy i czytelników). Przez cały dzień w atrium biblioteki prezentowały się regionalne wydawnictwa na okolicznościowych stoiskach, co stanowiło okazję do spotkania z autorami i ilustratorami z Warmii i Mazur oraz promocyjnego kupna książek.

I.B.-W.: A imprezy towarzyszące Przeglądowi to, na przykład, trzy ekspozycje (wystawa ilustracji Bronisława Zaleskiego, Ksawerego Pillatiego, Jana M. Szancera, Antoniego Uniechowskiego i Roberta Listwana do „Twórczości Ignacego Krasickiego”, wystawa opraw książek „przez wieki”, narzędzi i akcesoriów pisarskich oraz drukarskich). W zeszłym roku na podobnej wystawie zaprezentowano ilustracje Edwarda Ratuszyńskiego do książki „Miasto Bajek” Agaty Grzegorzczak-Wosiek, zaś dwa lata temu – wystawę pn. „Jak powstaje książka” na przykładzie „Bajkowych dziwów” Józefa Jacka Rojka.

M.S.: Przeglądowi tradycyjnie towarzyszyły liczne warsztaty: czerpania papieru (prowadzenie – Zbigniew Michalski), pisania gęsim piórem (prowadzenie – Zbigniew Urbalewicz), pisania na maszynach (prowadzenie – pracownicy WBP), ilustracji dla dzieci i młodzieży (prowadzenie – Jarosław Korzeniewski) oraz biblioterapeutyczne dla bibliotekarzy (prowadzenie: Marta Franaszczuk-Truskowska). Chętni mogli również odbyć wirtualną podróż po historii książki i bibliotek. Dla bibliotekarzy z naszego województwa – uczestników warsztatów – zorganizowano loterię książkową. Całość wieńczył recital literacki w opracowaniu i wykonaniu Marty Andrzejczyk pt. „Kobieta czasownik”. Przegląd doczekał się też swoich pamiątek – maszyna introligatorska tłoczyła złożone logo przeglądu, w ciągłym ruchu była także okolicznościowa pieczętka – lakowa oraz tuszowa.

Czy mają Panie jakieś życzenia na przyszłość – przyszłoroczny Przegląd „MojeTwojeNasze” 2011 jest niemal pewny...

M.S.: Jedyne, czego można sobie życzyć na dalsze edycje tej dynamicznie rozwijającej się imprezy, to tak dobrej współpracy z wydawnictwami, jak do tej pory.

I.B.-W.: Oraz nowych pomysłów.

Opracowała: Anna Rau



Roman Maciejewski-Varga



p o e z j a

x x x

podobno widziałem choć byłem ślepy
mówiłem od dawna będąc niemową
czułem – lecz to tylko chrobot kości
(kosmiczny obieg płynów i białka w syndromie sierocej choroby)

kiedy wilczo wyjąc samotnością mego stepu
powalony na kolana pazurem i krwią wadery
– ty się stałaś
wiotka sarenko płowa łanio
by pełnymi piersiami macierzyństwa
powtórnie mnie urodzić

x x x

zabliźnić się trzeba mówisz do mnie
choć więcej w nas bełkotu niż sensu
wieczorem zdobywamy zamki i twierdze
rano kac kalesony żony marudzące dzieci
nasza powiatowa bezsilność

byliśmy tak blisko spełnienia
w tym smutnym czasie krzyży
uwierzyłem przez chwilę
że w tej tancbudzie
dla niektórych wybranych
zakwitło szczęście

Fot. Krystyna Górńska



Pali, ale się nie wstydzi.

Miłośnik niesztabowych notek biograficznych i udratyzowanych wieczorów autorskich. Człowiek teatru i poezji – gestu i słowa.

Spóźnia się na pierwsze spotkania, ale tylko raz i warto czekać. Pokazuje swój tomik „Song dla przyjaciół” (2010) i recenzje – nie te spod pióra filologów, ale krótkie mailowe zapiski od przyjaciół (przecież to dla nich, nie ku uciesze filologów): „gdybym była mężczyzną, zrobiłabym z tego monodram”, „kiedyż on wreszcie stanie się dorosły”, „poruszająca uczciwość” ...



Anna Rau

Przejsć na drugą stronę mocy

Ostatnie Królestwo to Królestwo Niebieskie? O, nie... – wręcz przeciwnie.

Co się stało z namiętym prorokiem, apostołem, wskrzesicielem? Poczut się starszy, a zarazem młodszy, niż wcześniej myślał, winy popełnione (czy rzeczywiście?), grzechy niedopełnione (czy rzeczywiście?) – zaczęły wytykać go palcami. A cóż okazało się najgorszym? – że Najwyższa Wola raczyła się spełnić, prośby zostały wysłuchane, wołanie do Niebios dotarło, a czas się wypełnił. I nie tak miało być! Więc oto były-apostoł Kain opuszcza cywilizację, którą tak mozolnie budował, dla której posyłał na śmierć swych towarzyszy, której ofiarował wszystko... – bo na końcu zwątpił i upadek jego był wielki. Jak to boli! Oto „Ostatnie Królestwo” Marcina Cieleckiego. A przecież jego poezja, może i melancholijna, dotąd wychwalała czas przycinania winnic! Tu ból. Straszny, gdyż nie tyle dotkliwy, co ciągły, jęczący cicho pod skórą, prawie niezauważalny, a dręczący i złośliwy. Rozczarowanie. Gorycz. Świat Królestwa, co wygląda jak tuż przed zagładą, jakby o krok przed apokalipsą. Gdy biją dzwony na trwogę.

Jak się zrodziła potrzeba znalezienia nowego Królestwa? Czegóż tak strasznego dowiedział się ów prorok? Poczut jedynie, jak złazzone na chwilę ciała niby pozostawiły jak zwykle słodycz miodu, a jednak i nakarmiły goryczą. „Zjedz lepiej tę książeczkę” – prosi cicho Głos. To w tym akcie słodycz połączona z goryczą będzie naturalna, odwieczna, typowo prorocka – jak misja. Prorok pokornie to czyni: znów złącza swe ciało z drugim kochanym ciałem, potem zjada książeczkę daną od Głosu – od Słowa – i... zaczyna bluźnić. Próbuje pisać, jednak czuje żółć w swych słowach-od-Słowa, i zwątpienie. Uprzedza, że nic już nigdy nie będzie takie samo, prowokując tym cały ciąg wydarzeń. Co chwila dostaje korespondencję od Hannibala Lectera! Wchodzi (schodzi?) po stopniach potępienia, po drodze mija królestwa – tyle, tyle! - jednorodne, wielonarodowe, rewolucyjnie anarchiczne, żałobne bez-króla... Dlatego też w większości początkowych utworów pojawia się słowo-klucz „Królestwo”. Z tego? – nie z tego świata? Królestwo jest w człowieku: tam dojrzewa, wzrasta, powinno zakwitnąć i wysypać się z ciała kwiatami... A jednak gnije. Co się nie udało?! Otwarte podwoje, zboże na polach, czas dojrzewania winnic, a jednak puste miejsce. Gesty, mowa, laska patriarchy i apostoła, jego charyzmaty, zaczynają mieć skutki odwrotne, zaczynają służyć ciemnej stronie mocy...

Czy można Biblią zbudować obraz piekła? Zwątpienie? Bluźnierstwa? Cielecki znakomicie operuje słownictwem i metaforą zaczerpniętą z kart Pisma, w każdym utworze stosując przynajmniej kilka. Spod stołu śledzi apostoła ktoś z żalobnymi obwódkami zamiast oczu. Apostoła już jest pewny, że to nie sen. Ma też nowych kompanów, proroków nowej wyprawy, lecz będą zwiastować inną ewangelię niż do tej pory – czyż nie wiadomo, czyimi wysłańcami są muchy

i pająki? Nic dziwnego, że dotychczasowe szaty zbawienia zastąpił ubiór przekleństwa, pas mocy – przepasanie z pleśni. Królestwo gnije. Słowa ukojenia, dźwięki pełne światła stają się grobami dzieci, kamieniami przeznaczonymi na narzędzie egzekucji. Pamiętajmy, że majaczenia złamanego duchem proroka ciągle przeplata korespondencja Hannibala Lectera. Ów smakosz, pijąc herbatę z delikatnych porcelanowych filiżanek, zastanawia się nad kolejnymi potrawami w swoim menu. Wspomina łagodność kobiety swego życia, czyżby jednak ją kochał? Nie szarpie po prostacku prętów klatki, w której go zamknięto, choć omiata niespokojnym wzrokiem jej kąty, mając nieodparte wrażenie czyjejś obecności. Widzi czarny śnieg, gdyż świetnie czuje i rozumie zimę, odbierając jej jednak nawet pozór niewinności. A w jednym na pewno się nie myli – nie tużdy, jak apostoł ciemnej mocy – poznał, że wszechświat się rozprysł. Apostoła też powinien to zrozumieć, jednak blokuje mu świadomość pamięć Edenu. Świat, ku któremu dąży, to Biblia wcielona, lecz nie karty z Dobrą Nowiną, a psalmy przekleństwa, lamentacje, apokalipsa – gdyż czym zaiste jest Ostatnie Królestwo?... To ciało martwego króla. Zima, zamieć, szadź i bliźna pamięci. Prorok wspomina nabożnie, a ciągle bluźni, budząc obraz obmywania twarzy we krwi króla, jakby męczennicy płukali szaty we krwi Baranka. Cielecki ubiera ich w szaty z mięsa. Co się stało z Edenem? Co się stało z niebieskim Jeruzalem... Dwa wiersze się łączą – jeden z pierwszych, „Bezkrólewie”, i ostatni – *nomen omen* „Ostatnie królestwo”. W pierwszym prorok zgarbił się, zdjął aureolę, świadomie i dobrowolnie przyssał do piersi wilczycy. Zapragnął wydostać się z martwego ciała króla, lecz nie mógł go opuścić. Wyrażna, wieczna zima... – i oto nagle pojawienie się płaszczyzny konkretnego, realnego przestrzeni w bycie literackim, a dzięki metaforze biblijnej wręcz przedwiecznym. I tak apostoła krąży po skansenie w Olsztynku! To przybliży Królestwo do tu i teraz, do czytającego, i rzeźwi go ze skostnienia wśród słów poety, gdzie wszystko jest takie zimne, a sakramenty przestają obowiązywać. Apostoła, co staje się ewangelistą na oczach czytelnika, jednocześnie zostaje męczennikiem. Na zapisanych przez niego kartach rozpała się i wznosi słup ognia – słynna boska płomienna kolumna, co prowadzi między wód ścianami – ale on nieumiejętną ręką zamienia go w obłok pary. Krzyczy, gdyż czuje udrękę i ciężar grzechów, które doprowadziły go do tego właśnie momentu. Wtedy z jego ust wypada wstęga psalmów – jak na średniowiecznych obrazach, a dym syczy spomiędzy zaciskających się warg. Nie wytrzymuje tego dłużej – dobrowolnie wpada w otwartą paszczę ni-to-wieloryba, ni-to-lewiatana, i zaczyna kroczyć między sklepieniem żeber we wnętrzościach wielkiej ryby. Wspomina przy tym tych, którzy zostali w Prawdziwym Królestwie, i wtedy jakby podniesiony na poduszce wielkiej dłoni zostaje zrzucony wprost na karty ogromnego brewiarza, a tam odpoczywa. Wtedy przyzywa do siebie niczym świętych ku obronie tych bardzo konkretnych, znów spoza świata *stricte* literackiego. Zaskakująco

pojawia się postać ks. Borkowskiego, słynnego proboszcza olsztyńskiej katedry. Wówczas apostoł bije się w piersi. Odstępują od niego wizje i potwory, a pochylają się nad nim drzewa, kolumny, domy złote, arki przymierza, bramy niebieskie, żaby, krople rosy, jeziora, myszy, książki, słodkie, zwyczajne rzeczy, drzewa, drzewa, drzewa, to, co czyste, to, co można opiewać. Tych pięć – to wiele! – momentów-wierszy „przy brewiarzu” jest chwilą oddechu, omdleniem podczas ataków błędnego miotania się między okropnościami rozpadającego się świata. Wtedy prorok rozpaczliwie wzywa dobry Głos, co zawoła go przez okno, by mógł oknem wyjść. Czeka na zamknięcie oczu przez chłodną ukochaną dłoń. Co robisz, apostołe?! „Bestia przez chwilę nic o [tobie] nie wie”.

Ta poezja nie jest trudna. Jest wytrawna, smutna, wyraża takie zagubienie z powodu wewnętrznej akceptacji rozkładu, że aż boli. Cielecki wyszedł z winnicy, ujrzał ciemną stronę mocy i zapłakał. A płacz jego był zaiste wielki.

Marcin Cielecki, „Ostatnie Królestwo”, Sopot, Towarzystwo Przyjaciół Sopotu, 2010.

Pies niewiary

Złe sny, wspomnienia. Walczyłem ze swoją wiarą,
Aż poszedłem własną drogą.
Ciemności, nie zastań mnie.

Pies niewiary zasmakował we wszystkich kościach moich.
Liże dłoń, kładzie łeb na kolana pod rękę jak pod topór, pieszczotę.
Pstrokaczna bestii jest ze mną.

Krzyczy na przemian mój duch, moje ciało.
Wewnątrz jestem nagi, pusty.
Wejdz.
Nasyć się.

Jeśli w wierze istnieje łaska niewiary
Psie niewiary powiedz naszemu panu
Żeś mnie widział.

Widziałeś mnie przecież?



„Luty” kolaż Ewy Pohlke insp. poezją K. Brakonieckiego

Kazimierz Brakoniecki

Zwiastowanie-
ślady pazurków na śniegu.
pani kawka szła tędy,
niosąc swoją lotność
w stanie błogostawionym.
Samotność-
nad pojedynczymi domami,
które podchodzą do lasu,
nad rozżaloną wroną przeganiającą pustułek
drobny, rzadki śnieg.

Zaklinanie nieobyczajowe

(część 1)

p r o z a

Kiedy wyruszałam w tę podróż, nie sądziłam, jak bardzo przemieszają mi ona moje życiowe ścieżki. Każdy jednak musi w taką podróż kiedyś wyruszyć, choćby po to, by rozkopać, jak ziemię w ogródku, swoje przyzwyczajenia, te wszystkie nigdywzycia i zanicwświecia, te zapewnienia, że tylko krowa nie zmienia poglądów po to tylko, by utkwic w nich jeszcze głębiej niż przedtem. Takie przemieszanie po prostu się przydaje. By potem usiąść w oknie i pomyśleć: życie niech biegnie, a ja dziś odpocznę, bo na to zasłużyłam. Siedzę w tym oknie nie z nudów, z braku zajęcia, czy ze wścibskiej ciekawości dla przebiegającego za oknem życia, a z prostego pragnienia spokojnej chwili.

Trzydziestoosmioletnia, porzucona i rozwiedziona kobieta już się tak szybko nie zabliznia, jak kiedyś. W podświadomości tkwi w niej lęk przed czterdziestką, która w tym wieku jest jeszcze jakimś Rubikonem, przez który trzeba przejść z godnością matrony. Potem ten Rubikon już nie jest tak wyczuwalny. Na przykład czterdziestodzieciolatka, pod warunkiem, że jest w miarę szczęśliwa, rzadziej powie o sobie, że pięćdziesiątka to kolejny w jej życiu etap, którego podskórnie się boi. Wynika to chyba z narastającego z wiekiem pogodzenia ze światem, przemijaniem, ze stopniowo zdobywaną i wydeptywaną przez lata umiejętnością przyznawania się do wieku i słuchania z lubością, że na tyle lat to na pewno nie wygląda!

No, właśnie...

Ale do tego trzeba być kobietą szczęśliwą i spełnioną. Mój Rubikon nadchodzi, a owo jego przybliżanie się jest odwrotnie proporcjonalne do poczucia własnego szczęścia i spełnienia, w roli jakkolwiek rozumianej matrony. Matrony rodziny, sytuacji zawodowej, kariery, domu z ogrodem. Ze wszech miar nie jestem ową matroną i czasem nad tym ubolewam, bo, jak każda kobieta, mam prawo do takiego szczęścia. Zapomniało o mnie, czy nie chce przyjść? Na takim zastanawianiu się spędziłam resztę samotnego popołudnia, które było swoistym podsumowaniem tego, co się wydarzyło ostatnio w moim życiu. Siedziałam w oknie i na szybko rozplaszczałam moje myśli.

Może gdybym bardziej lubiła muzykę operową... Może, gdybym nie zasypiała prawie na ramieniu Grześka od historii, i nie postanowiła moim powrotem do hotelu zwalczyć przenikającą mnie senność, która nie odpuszczała mimo interesujących, zdaniem Grześka, wykonanych poszczególnych arii. Tak naprawdę to nie wiedziałam nawet, które wykonanie jest bardziej interesujące. Na ten festiwal poszłam,

bo pierwszy raz w życiu w losowaniu ktoś wyciągnął moje nazwisko! Dlaczego akurat wtedy spotkało mnie to szczęście? Dlaczego nie w jakimś audiotele albo losowaniu głównej nagrody w konkursie dla czytelników magazynu dla działkowców? Może gdybym tego szczęścia wtedy nie miała... Ślepy los – tak się mówi o tej lasce, którą zesłał mi nagle wszechświat. I po co? Czy kiedyś pojmę meandry jego logiki?

Mój mąż, Antoni, miał te same marzenia. Jeszcze wtedy były naszymi wspólnymi. Oboje postanowiliśmy po studiach ponieść kaganek oświaty dla tych, którzy bez niego niechybnie zblądziliby. W podwarszawskim powiatowym miasteczku, gdzie postanowiliśmy dla tego kaganka osiąść, wynajęliśmy niewielkie mieszkanie niedaleko szkoły, na osiedlu wyposażonym w sklep, aptekę oraz plac zabaw dla dzieci, i zaczęło się nam wydawać, że oto pochwyciliśmy swoje szczęście nagle i kurczowo jak dzikiego kota. O kupnie mieszkania na razie nie mieliśmy co marzyć. Może kiedyś?

Poznaliśmy się standardowo, na pierwszej skromnej studenckiej imprezie w akademiku w Olsztynie. Wyższa Szkoła Pedagogiczna to była raczej „kobieca” uczelnia, a Antoni był jednym z pięciu mężczyzn na roku. Wypadło akurat na mnie. Nie było w naszym poznaniu się nic ekscytującego, toteż dziś również o tym myślę bez nadmiernej ekscytacji. Może spodobały mu się moje oczy w kształcie brązowych migdałów? Może brwi, podniesione jak jaskółki gotowe do lotu? Może długie ciemne włosy, zaplątywane przez wiatr, gdy przez październikowy wieczór szliśmy na tę imprezę. Dziś myślę, że równie dobrze mogłaby mu spodobać się inna kobieta, może jakaś bardziej blond?

Decyzja o ślubie zapadła po szesnastu wspólnie spędzonych nocach. Antoni poukladał mi życie. Zaproponował małżeństwo, ale dopiero po studiach, wspólne zamieszkanie na próbę rok przed planowanym terminem ślubu i podjęcie pracy w szkole w mieście, gdzie tę pracę dostaniemy. Koniec, kropka. Zagarnął mnie dla siebie, zabierając mi młodość. I tak na pierwszej studenckiej imprezie skończyły się dla mnie kolejne studenckie imprezy. Byłam już dziewczyną Antoniego, zarezerwowaną dla niego, i tak zostało na całe pięć lat. Dyplom, praca w podwarszawskim miasteczku, żeby wyrwać się z warmińskiego prowincjonalizmu, jak mówił mój już mąż. I praca w szkole, poprawna, jak całe nasze życie. I moje mu oddanie. Z koszulami na wieszakach, poparowanymi skarpetkami, obiadem w duchówce, gdy miał wywiadówkę w innym terminie niż ja. I nasze wieloletnie staranie się o dziecko, które by odmieniło monotonię naszego życia polonistów, zaopatrzonych na wszelki wypadek w kota, by gdzieś ulokować macierzyńsko-ojcowskie uczucia. Moja pani gi-

nekolog nie odebrała mi złudzeń, mówiąc, że ja jestem gotowa. W blokach startowych. Może to wina drugiego zawodnika? On jednak nie chciał słyszeć o badaniach, zabierając mi bezpowrotnie nadzieję na zobaczenie w małej twarzy kropli samej siebie. Zaszły się w swoich książkach i klasówkach, obdarzył marzeniami podobnymi do swoich. Przy jego boku zbiegła mi dwudziestoletnia młodość i zaczęła się właśnie trzydziestoletnia, a ja odbierałam to jako tamten Rubikon, nie wiedząc jeszcze, że za dziesięć lat poczuję się podobnie, tyle że gorzej, bo samotna. Żyłam „na widoku”, jak każda nauczycielka w małym mieście. Dziesiątki spotykanych w sklepach czy na ulicach uczniów, ciekawskie „dzień dobry” ich matek czy ojców, szczególne zabieganie o względy i zerkanie na moje reakcje, albo na to, jaki chleb lub jaką kielbasę wybieram w osiedlowym sklepie, i mówienie innym klientom, że „ta nauczycielka” wybiera to i to. Nie chodziłam do pubów, bo nie wypadało mi się zachowywać po piwie zbyt swobodnie, a na tę swobodę sobie czasem pozwalałam tylko w zaciszu domu lub w mieszkaniu znajomych nauczycieli. Bo musiałam dbać o obyczaje. Zamknięta w swoim świecie z bezpiecznym Antonim spłacałam raty kredytu hipotecznego, na który wreszcie się zdecydowaliśmy.

Krótkie i miłe rozmowy z sąsiadkami, niehałasowanie po dziesiątej wieczór, niechodzenie w obcasach po mieszkaniu, bo na dole emeryci, niespuszczanie wody późnymi wieczorami lub nad ranem, gdy zachce się do ubikacji, bo za głośno ta woda przetacza się potem w rurach. Dziesiątki zakazów, na które się zgodziłam spokojnie i nieświadomie dla samej siebie, zbudowały we mnie swoisty dekalog blokera, jakim się stałam. I jeszcze moje „nie wyobrażam sobie!”, powtarzane przy każdej okazji. Nie wyobrażałam sobie głośnego imprezowania do białego rana, wyrzucania chleba do pojemnika na śmieci, pożyczania znajomym samochodu, małżeńskiej zdrady, zaniedbania uzębienia, przechodzenia z uczniami na ty, niewykrojenia z ziemniaków czarnych oczek przed gotowaniem i całej masy innych życiowych drobiazgów, z których mogłabym uskładać życie inne niż moje, mniej ułożone. Nasze życiowe klocki wspólnie z Antonim kładliśmy według projektu i nie było tu miejsca na własną twórczość. Antoni mówił tym samym, co ja, językiem. Tak samo krytykowaliśmy prezydenta, w wyborach skreślaliśmy te same nazwiska, czytaliśmy te same książki. Znajomi mówili: wspaniałe małżeństwo! I takim się właśnie czuliśmy.

Cdn.

Kazimierz Brakoniecki

„Pytanie”

zapytałem się mrówki
kosa robaka chmury
a odpowiedziała mi kobieta
pełna dojrzałej miłości



„Październik” kolaż Ewy Pohlke insp. poezją K. Brakonieckiego

Anita Romulewicz Koronkowe ryby na niby



Il. Mieczysław Romańczuk

Każdy, kto choć raz miał w ręku książkę z rysunkami Marcina Szancera, mistrza w swym fachu, wie, czym jest przyjemność oglądania prawdziwej sztuki ilustratorskiej. Delikatna kreska i subtelny kolor tworzą wokół postaci i miejsc aurę tajemniczości. Obrazy hipnotyzują i wciągają w świat, którego nie chce się dobrowolnie opuszczać. Prowadzą przez bajeczne historie i przygody, a gdy lektura kończy się, pozostawiają przejętego małego czytelnika, niezdolnego już patrzeć na świat tak jak wcześniej.

Chciałoby się móc napisać taką charakterystykę wszystkim książkom dla dzieci. Niestety rynek wydawniczy kieruje się swoimi prawami, a efekty tego dostajemy do rąk, często zdumieni jakością książek, a nawet przeznaczeniem. Na temat literatury dla najmłodszych oraz ich oprawy graficznej powstało w ostatnich latach wiele

artykułów i przynajmniej kilkanaście kompetentnych opracowań naukowych. Dowiadujemy się z nich o historii i ewolucji polskiej ilustracji, jej roli dla odbioru dzieła i znaczenia w procesie wychowania dziecka. Można się nawet pokusić o wypreparowanie z nich swoistego przepisu na „dobrą książkę” dla młodych. Jednak teoria teoria, a praktyka pokazuje, że choć w świecie polskiej książki dzieje się coraz lepiej, to nadal zdarzają się edytorskie „potworki”. Będąc przedmiotem handlu, bliżej im do pudełka z płatkami śniadaniowymi niż do nośników sztuki. Tym bardziej cieszą wszelkie akcje promujące wartościową sztukę ilustratorską i piękne przykłady rzemiosła wydawniczego, począwszy od szeregu profesjonalnych działań realizowanych przez Polską Sekcję IBBY (www.ibby.pl) po lokalne przeglądy, spotkania autorskie i wystawy.

A jak ma się książka dziecięca na Warmii i Mazurach? Po okresie powojennym, kiedy nie mamy zupełnie o czym mówić, nieśmiało zaczęły pojawiać się na rynku wydawniczym pierwsze zbiory baśni i legend. Jak na ówczesne standardy drukarskie i edytorskie były to prawdziwe dzieła sztuki – płócienna oprawa, barwna czcionka, ilustracje utrzymane w ludowym klimacie. Legendy warmińskie w opracowaniu Marii Zientary-Malewskiej, lubawskie baśnie Teofila Ruczyńskiego, fantastyczne opowieści Tadeusza Stępowskiego o Raku i jego synach – to historie, które po raz pierwszy wydrukowano dzięki staraniom edytorów warszawskich. O kolejne wydanie tej ostatniej zadbało już olsztyńskie „Pojezierze”. W 1962 r. opublikowano także tom baśni zebranych przez Marynę Okęcką-Bromkową pt. „Nad jeziorem bajka śpi”, ilustrowany przez Zofię Hermanowicz. Dekadę później w wydawnictwie tym ukazywała się już większość regionalnej literatury dla najmłodszych, m.in. książki Ireny Kwinto – „Dar królowej Róż” (1973) i „Pierścień orlicy” (1976), z pięknymi, „koronkowymi” i „skrzącymi się” rysunkami Marii Szymańskiej. „Uśmiechnij się bajko”, tom z 1982 r. zilustrowała natomiast Elżbieta Gaudasińska, przenosząc czytelnika w stonowany świat groteskowych, „gruboustych” stworów, tak nierealistycznych, że aż niestraszy.

Olsztyńskie „Pojezierze” ma na swoim koncie także inne ciekawe pozycje wydawnicze kierowane do młodego czytelnika. W 1984 r. ukazały się bajki Klemensa Oleksika „Czarownica znad Bełdan”, opatrzone niezwykleymi rysunkami Mieczysława Romańczuka. Eteryczne, półnegatywowe, zaskakują wykorzystaniem zaledwie dwóch barw do podkreślenia dwoistości baśniowego świata. Uważny czytelnik zwróci uwagę, jak ilustrator czarną linią kreśli to, co realne i rzeczywiste, zaś białą, magiczne i ulotne. Mieczysław Romańczuk jest także autorem ilustracji wykonanych techniką geometrycznej wycinanki, do zbioru bajek i legend „Królowa jezior” (1988).

Na uwagę zasługują także inne książki wydane przez „Pojezierze”: seria o przygodach Gacoperka, autorstwa Jerzego Ignaciuka, oraz cykl opowiadań o zwierzętach Jana Grabowskiego. Autorem ilustracji do „Podziemnych sprawek Gacoperka” jest Adam Kurlowicz, który, z wycuciem dobierając barwy, kreuje świat ostry, skalisty i szklisty, nie pozostawiając czytelnikowi złudzeń, co do tego, gdzie toczy się przygoda. Z kolei Dariusz Miroński, autor pastelowych ilustracji do „Finka” powołał do życia grono rozbajających szczeniaków i innych milusińskich, chwytających za serce psotami i paciorkowatymi oczami. Szkoda tylko, że podobnie jak w „Skrzydlatym bractwie”, dobrą graficznie i koncepcyjnie ilustrację psuje słaba jakość druku.

Swoistym *novum* w regionalnej sztuce edytorskiej stała się w latach 90-tych praktyka ilustrowania książek dla najmłodszych pracami wykonanymi przez dzieci. Tomik poetycki Maryny Okęckiej-Bromkowej z 1996 r. nosi nieco barokowy, ale wiele mówiący tytuł „Deszczem wiatr podszył sukmanę, a Maryna Okęcka-Bromkowa to podszywanie spisała w latach 1958-1996. A dzieci w wieku 7 do 12 lat ze szkoły w Maltajnach ilustrowały”. Trzy lata wcześniej, jako praca wspólna oraz „dzieło otwarte”, powstał zbiór opowiadań Dariusza Lisa „Zwierzęta z domu pod kasztanowcem” – produkt wielkogabarytowy i interaktywny. Jak podkreślił edytor (olsztyńskie wydawnictwo Etos), książka była wyjątkowa już na etapie powstawania tekstu, w którego ostateczny kształt mogli ingerować sami czytelnicy. Autorem ilustracji został kilkuletni wówczas syn olsztyńskich plastyków – Kuba Obarek.



Il. Dariusz Miroński



Specyficznym zjawiskiem na regionalnym rynku wydawniczym są kontynuacje serii poczytnych książek. M.in. baśnie Ireny Kwinto doczekały się kolejnych wznowień, jednak już w zupełnie innej formie. Publikowane przez rodzinne wydawnictwo „Wrzos” z Lidzbarka Warmińskiego, wkroczyły z rozmachem w świat neonowych kolorów i techniki komputerowej. I choć grafiki Michała Prewysz-Kwinto mogą kusić dzieci łase na soczyste barwy niczym z filmów Disneya, to jednak ma się wrażenie, że bliżej im do japońskiej mangi niż do opowieści znad rodzimych jezior i lasów. Podobnie ma się rzecz z ponadpokoleniową już serią przygód Pana Samochodzika Zbigniewa Nienackiego. Kolejne tomy, które publikowało wydawnictwo „Pojezierze”, były przez wiernych czytelników rozpoznawane dzięki spójnej szacie graficznej oraz niepowtarzalnym ilustracjom Szymona Kobylińskiego i Anny Stylo-Ginter. Współczesna „czarna” seria Wydawnictwa „Warmia” także wyróżnia się barwą okładek. Lecz nie tylko. Zamiast ilustracji opatrzone ją zestawem barwnych fotografii, „upiętych” na końcu każdej powieści. Zabieg to nowy, lecz czy lepszy?

Koniecznym należy wspomnieć o kilku zbiorach poetyckich dla najmłodszych. Po pierwsze, dlatego że są one rzadkością na naszym regionalnym rynku wydawniczym, po drugie, stanowią pozytywny przykład tworzenia dobrej książki dla młodego i także wymagającego odbiorcy. W 2002 r. nakładem olsztyńskiego oddziału Polskiego Towarzystwa Czytelniczego ukazał się tomik



Il. Anna Styrańczak

Zbigniewa Chojnowskiego „Wiersze dla Witka”. Grafiki Wiesława Wachowskiego, wykonane jakby „od niechcenia”, podkreślają ulotność chwil bycia z dzieckiem, które szybko dorasta. Prosty rysunek wykonany lekką, niekiedy rozmytą kreską skupia całą uwagę czytelnika, tak jak i chłopca dokonującego „małych studiów” nad światem. Niezwykle owocny dla poezji był rok 2008. Wówczas staraniem Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej w Olsztynie ukazał się tom „Baju baj patataj” Marka i Sylwii Samselskich, z grafikami Iwony Bolińskiej-Walendzik, natomiast wydawnictwo ElSet opublikowało „Bajkowe dziwy” Józefa Jacka Rojka, zilustrowane przez Mirę Jadanowską, oraz wyjątkowe „Miasto bajek” Agaty Grzegorzczak-Wosiek i Edwarda Ratuszyńskiego. Wszystkie cechuje odważna barwa, czytelny przekaz i kwadratowy format książki, który towarzyszył dziecięcej literaturze regionalnej najczęściej.

Pomimo tych wyjątkowo atrakcyjnych propozycji dla najmłodszych czytelników, faktem jest, że na Warmii i Mazurach dla dzieci wydaje się niewiele. Tym bardziej niepokoją i razią przykłady wydawnictw niestarannych, o marnej jakości plastycznej. Coraz częściej wpadają nam w ręce wydania autorskie, opublikowane nakładem samych autorów albo też dzięki wsparciu finansowemu konkretnych sponsorów. O ile instytucja mecenatu jest rzeczą pożądaną wiele, o tyle jeszcze bardziej pożądanym byłby dobry smak i odrobina znajomości sztuki edytorskiej. Smutne, że z reguły ważne i literacko ciekawe przedsięwzięcia nie doczekują się stosownej oprawy, na jaką zasługują. Mały nakład książek nie powinien usprawiedliwiać przypadkowych i wręcz brzydkich ilustracji, braku rzetelnej korekty czy niechlujnego wykonania. Rodzi się tym samym ogólne wrażenie publikowania dla własnej satysfakcji czy z osobistej próżności autorów. I nie ma to nic wspólnego z ruchem bibliofilskim. A przecież istnieją wzory dobrze wykonanej pracy z tzw. misją, chociażby współczesne opracowania legend warmińskich w formie komiksu, powstałe pod czujnym okiem Edwarda Cyfusa, znawcy gwary warmińskiej, z rysunkami Jarosława Gacha i tekstami Marcina Wakara, czy bajki Ignacego Krasickiego („Setnik bajek”) z nowoczesnymi ilustracjami Roberta Listwana.

Jak zostać dobrym twórcą książki dla dzieci

Bez warsztatu ani rusz. I nie chodzi tu o szafy pełne farb czy papieru. Zręczny ilustrator powinien posiadać sprawność plastyczną, zasób techniczny, by móc świadomie decydować np. o długości kociego ogona, i niechcący nie uczynić zeń lemura. Bez umiejętności tych musi legitymować się autentycznym talentem (o co już znacznie trudniej). Powinien być przy tym trochę jak dziecko. Tylko wówczas możliwe jest odczuwanie i rozumienie świata dziecięcych fantazji. Praca profesjonalnego grafika zakłada celowe wykorzystanie papieru, koloru, rozmiaru i formatu czcionki, ilości i wielkości ilustracji. Wszystko to z pełnym zrozumieniem percepcji małego czytelnika. Rzecz się ma jak z dawaniem prezentów – trudno sprawić komuś przyjemność, nie znając jego potrzeb i upodobań. W rysunkach dla maluchów wagi nabiera barwa, w książkach dla starszych dzieci nie do zaakceptowania są wszelkie deformacje i źródła niepokoju. I o tym ilustrator winien pamiętać (a studia z zakresu psychologii rozwojowej byłyby nieocenione). Na nic jednak technika i wiedza, gdy brak pomysłu. Ilustracja jako element książki, stanowiącej swą istotą całość literacko-wizualną, powinna z nią współgrać, uzupełniać ją. Kłębiące się w głowie rysownika koncepcje, choćby nawet genialne w swym artyzmie, poza słowem będą jedynie obrazkiem. By stały się ilustracją autor powinien nadać im kontekst, narzucić rolę – zestawień kolor, linię, technikę, kompozycję, fakturę z tematem. A jeśli przy tym uda mu się wysublimować gust młodego czytelnika lub wręcz zniechęcić do wszechogarniającego kiczu i nieudolnych prób „podrabiania” rzeczywistości – czekają go, jeśli nie chwala i sława, to z całą pewnością osobista satysfakcja z dobrze wykonanej pracy.



Il. Elżbieta Gaudasińska



Charles Bukowski (1920-1994)

Należy do największych poetów ostatnich dekad XX wieku. Był typem poety zbuntowanego, outsidera, uosobieniem postbeatnikowskiej artystycznej bohemy w USA i skandalistą, przede wszystkim jednak – autorem wyjątkowo wrażliwym na kwestie ludzkiej wolności, społecznej nierówności i prawa do godności oraz szczęścia. W sierpniu obchodziliśmy 90. rocznicę jego urodzin. Prezentujemy dwa utwory poety w przekładzie **Krzysztofa Dariusza Szatravskiego**.

Czytelnik

telefon odezwał się o 1:30
dzwonił człowiek z Denver:

„Chinaski, masz czytelnika w
Denver ...”

„tak?”

„tak, wydaję magazyn i potrzebuję kilku
twoich wierszy...”

„PIEPRZ SIĘ, CHINASKI!” Usłyszałem głos
w tle ...

„słyszę, że nie jesteś sam,”
powiedziałem.

„tak,” odpowiedział, „chciałbym sześć
twoich wierszy...”

„CHINASKI PRZYNUDZA! TO KUTAS!”
Usłyszałem inny

głos.

„piliście panowie?”
spytałem.

„i co z tego?” odparł. „ty też pijesz.”

„to prawda...”

„CHINASKI TO DUPEK!”

później

wydawca czasopisma podał mi
adres a ja przepisałem to na odwrocie
koperty.

„wyślij nam jakieś wiersze...”

„zobaczę co się da zrobić...”

„CHINASKI PISZE GNIOTY!”

„do widzenia,” powiedziałem.

„do widzenia,” powiedział

wydawca.

odłożyłem słuchawkę.

nie brakuje jak widać samotnych

ludzi, którzy nie bardzo wiedzą co zrobić
ze sobą w nocy.

Przemiana

przyszła dziewczyna

pościeliła łóżko

wyszorowała i nawoskowała

podłogę w kuchni

wyczyściła ściany

odkurzyła

umyła toaletę

wannę

wyszorowała podłogę łazienki

obcięła mi

paznokcie u stóp i

włosy.

później

a wszystko tego samego dnia

przyszedł hydraulik i

naprawił w kuchni kran

i toaletę

do tego serwisant od gazu

zreperował piec

a monter z telekomunikacji

podłączył telefon.

Teraz utkwilem w całej tej
doskonałości.

jest cisza.

zerwałem z moimi trzema

dziewczynami.

było mi lepiej kiedy wszystko było

w nieładzie.

stracę kilka miesięcy zanim

wrócę do normalności:

nie mogę znaleźć choćby karalucha

z którym mógłbym się zaprzyjaźnić.

zgubiłem swój rytm.

nie mogę spać.

nie mogę jeść.

zostałem ograbiony z

mego niechłujstwa.



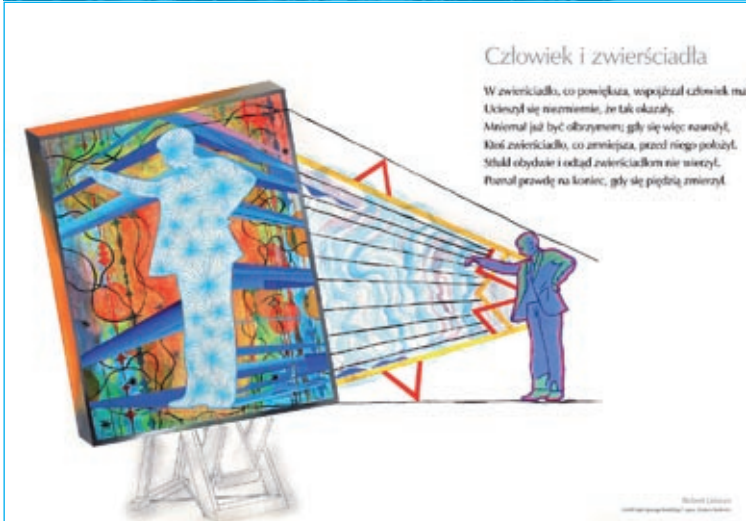


Robert Listwan – malarz, ilustrator

galeria

Listwan urodził się w 1974 roku w Polsce – kraju nad Wisłą. Większość rzeczy była wtedy czarno-biała ze względu na ustrój panujący w tym kraju. Mimo to Listwan już jako dziecko malował kolorowe obrazki. Minęło grubo ponad ćwierć wieku, a Listwan nadal maluje kolorowe obrazki, tyle że większe. Limitowana seria arbuźów w sklepach, brak komputerów osobistych i telefonów komórkowych nie przeszkadza artyście w poszukiwaniach inspiracji. Powstaje pierwsza seria obrazów syntetycznych, takich jak: „CITY 7”, „PC030080”, „G69” czy „BLUE” i wiele innych. Czterdzieści lat po „Mechanicznej Pomarańczy” Listwan jako młody artysta dowiadyuje się, że można podróżować po świecie. Koktajl doznań spowodowanych podróżami doprowadza do powstania serii obrazów niesyntetycznych, takich jak: „IDOL”, „SCRAPYARD OF LAUGHTER” i wielu innych. Po obejrzeniu kultowego filmu „Rękopis znaleziony w Saragossie” postanawia wyruszyć do Hiszpanii. Po wielu latach ta ostatnia z przygód staje się jego motorem w pracy artystycznej i pozwala Listwanowi przyspieszyć.

Alberto Pikanteria – friend





Galeria Stary Ratusz WBP – wystawa „Twórczość Ignacego Krasickiego w ilustracjach Roberta Listwana, Jana Marcina Szancera, Antoniego Umiechowskiego”

Jagnię i wilcy

Zawszy znajdzie przyczynę, kto zdobyłczy pragnie.
Dwóch wilków jedno w lesie rudybał jagnię;
Już go mieli rozżarzać, srebrko „lakim prawem?”
„Straszny, stały i w lesie!” — Zpełni niezawsem.



Robert Listwan
www.robertlistwan.pl



Wierzba i lipa

Mówiła wierzba lipie: „Zie się masz, spasiłko,
A co się, zwieszca w lesie, trafiła dość czarko,
Choc' wiosna, biał twój wiejskie”. Ia odpowiedziała
„Alboż chraszczasz, gawronie nigdy nie widziałe?
I tobie się wydłotyć może pora taka.
Kańde drzewo, spasiłko, ma swego robaka”.

Robert Listwan
www.robertlistwan.pl

Synogarlica

Dobrze czyni, kto zawsze z dobrymi obyczaj;
I najpepszego miejsce nieprawe rozpoje.

Smutną synogarlicę na zradzanej zasadzce
Złapał ptasiurak przemyślny i osadził w klatce.
Trzy dni w mieście siedziała, czwartego uciekła.
A co niegdyś powitanych związków się wyrzekała,
Śmiechała w lesku i z przeszłej śmiejąc się czołaj,
Za jedną utraczoną znalazła dwie parę.



Robert Listwan
www.robertlistwan.pl



Ziemia i potok

Ptasiur nagle wędzarny z szarzem się zapamiętał,
A gdy grubie przemywał, drzewa wyłozował,
Zakwał pola,
Wamagał się nika,
Pił hulać,
W leśnym czasie,
Kiedy mu wody coraz ubywało,
Z czołki stał się strażką małą;
I ów, co brzał,
Muczał

I wymuszał niewiedziuchę z sarku sprawnęj nika,
Iz go nie zakwala w tak smętej niedzi.
„Powiedz, żeś mnie załził, kiedyś byś spiekał —
Redka —
Lecz przypadkiem wspomógł naga: leżęj tują wodą
Nie jest to dobrodziejstwo, co jest z całą otoką”.

Robert Listwan
www.robertlistwan.pl



Galeria „Art Deco”

Galeria „Art Deco” mieści się przy ul. bpa T. Wilczyńskiego 6a w Olsztynie. Istnieje od 1999 r., zajmując się promocją, prezentacją i sprzedażą dzieł sztuki współczesnej. Galeria prowadzi Mieczysława oraz Marian Szwaj (historyk i kurator sztuki). „Art Deco” jest galerią prywatną, całkowicie niezależną, nie związaną z żadną instytucją. Program wystawienniczy galerii ma charakter otwarty, prezentuje się tam malarstwo, rysunek, grafikę, fotografię i rzeźbę. Działalność ekspozycyjna obejmuje prezentacje indywidualne, zbiorowe i tematyczne. Galeria posiada też stałe miejsce pokazu prac, ilustrujących zabytki architektury Olsztyna oraz piękno przyrody regionu Warmii i Mazur.

Poza bieżącą działalnością wystawienniczą galeria „Art Deco” tworzy własną kolekcję sztuki, tzw. „żywe archiwum sztuki”. Waga tego zbioru nie polega wyłącznie na wartości poszczególnych obiektów, ale na ich wzajemnym odniesieniu w zbiorze, na powstawaniu nowych kontekstów, sensów, opowieści o artystach, którzy je tworzyli, na tworzących się wydarzeniach i sytuacjach „wokół” obrazów i wystaw. Są to prace mocno osadzone w charakterystycznych klimatach właściwych kulturze regionu, a przy tym nie pozbawione szerokich europejskich horyzontów. Trzon „żywego archiwum sztuki” stanowią dzieła olsztyńskich artystów. Na szczególną uwagę zasługują: zbiór 20 rysunków i akwarel Hieronima Skurpskiego z lat 1955-74, cykl grafik „Powroty” Agnieszki Odrakiewicz, projekty plakatu teatralnego Jarosława Korzeniewskiego, narracyjne i oszczędne w formie obrazy Jarosława Puczela, budzące emocje rysunki Dariusza Dąbrowskiego, pastelowe portrety Mai Rogowskiej, metaforyczne obrazy Ewy Pohlke, wyimaginowane i groteskowe przedstawienia Jerzego Ruszczyńskiego. Nowe media reprezentują prace Agnieszki Ciszewskiej, rzeźbę – cykl prac Tomasza Witkowskiego. Wymienieni artyści są istotni nie tylko dla oblicza kultury miasta, jego historii, ale dla sztuki w ogóle, dzięki tym twórcom galeria mogła zapewnić styl i jakość dokonującego się w niej aktu tworzenia sztuki.

Ważniejsze wystawy zbiorowe zrealizowane w latach 2001-2010:
 2002 – *Oblicza grafiki*. 2002-2005 – *W zielonościach i błękitach*. *Pejzaż Warmii i Mazur* (cykl 4 wystaw). 2002 – *Spotkania*. *Nowa sztuka z dawnej* (wystawa prac 30 artystów). 2003 – *Portret liryczny* (wystawa prac 17 artystów). 2003-2005 – *Portrety miasta* (cykl 3 wystaw). 2004 – *Gry rysunkowe* (wystawa prac Hieronima Skurpskiego). 2004 – *Spotkania*. *Romantyczne i sentymentalne*. 2006 – *Ikony współczesności*. 2006 – *Z malowanej skrzyni*. *Poetyka ludowa Warmii i Mazur*. 2007 – *Żywe archiwum sztuki*. *5 lat działalności galerii Art Deco*. 2008 – *Od-Jazz-dy*. 2009 – *Pamięć i tożsamość*. *Pamięć zagubiona* (cykl 2 wystaw). 2009 – *Podróże artystyczne*. *Le nostalgia Italiane* (wystawa fotografii). 2010 – *Uczta w poście* (wystawa prac 32 artystów).



„Ikony Współczesności”, uczestnicy wystawy: Marian Szwaj, Jarosław Korzeniewski, Arek Dżiczek, Aga Ciszewska, Adam Strzelecki, Bartek Mysłak, Jarosław Puczel (2006)

Ważniejsze wystawy indywidualne:

Hieronim Skurpski, Tomasz Witkowski, Jerzy Ruszczyński, Jarosław Korzeniewski, Zbigniew Urbalewicz, Danuta Krajewska, Iwona Bolińska-Walendzik, Agnieszka Odrakiewicz, Dariusz Dąbrowski, Ada Jędrych, Edyta Jurkowska, Jarosław Puczel i Marian Szwaj.

Obok działalności wystawienniczej Galeria „Art Deco” realizuje program o charakterze edukacyjnym, którego zadaniem jest promocja współczesnych idei artystycznych oraz upowszechnianie zainteresowań i form uczestnictwa we współczesnej kulturze artystycznej. Galeria świadczy też usługi w zakresie profesjonalnej oprawy obrazów, grafik, akwarel, fotografii oraz innych nietypowych obiektów, jak również udziela porad i konsultacji artystycznych klientom indywidualnym i firmom w zakresie aranżacji wnętrz.

Opracowano w Galerii „Art Deco”

Kurator: Marian Szwaj



„Portret liryczny” – uczestnicy wystawy: Dariusz Dąbrowski, Tadeusz Bałakier, Danuta Krajewska, Dorota Książek, Jarosław Puczel, Ewa Pohlke, Maja Rogowska (2003)

Projekt edukacyjny pt. „O sztuce po angielsku” – studenci UWM w Galerii „Art Deco” (2004)



Ewa Sotomska Działdowskie środowisko literackie

Ktoś kiedyś nazwał Działdowo „zagłębem poetyckim”. Myślę, że jest w tym trochę prawdy. Nasi miłośnicy literatury często mają okazję spotykać się z wydawcami i autorami książek, m.in. dzięki Miejskiej Bibliotece Publicznej w Działdowie. Organizowane przez placówkę imprezy to np. promocje tomików wierszy lokalnych poetów, spotkania autorskie z twórcami nie tylko lokalnymi, czy regionalnymi, ale również z innych województw. W ten sposób dorośli mieszkańcy Działdowa spotkali się m.in. z Jackiem Dehnelem, Małgorzatą Kalicińską, Erwinem Krukiem i Marcinem Rychcikiem (byłym Działdowzczaninem, autorem książki *Roman Wilhelmi. I tak będę wielki*). Miłośnicy historii regionalnej natomiast rozmawiali z Grzegorzem Jasińskim, Jerzym Markiem Łapo, Waldemarem Mierzwą, Januszem Małkiem oraz Zbigniewem Chojnowskim. Z dziećmi i młodzieżą spotkali się Ewa Nowak, Marta Fox, Anna Onichimowska, Grzegorz Kasdepke, Ewa Chotomska i Paweł Beręsewicz. Kilkakrotnie w naszym mieście gościł też Wojciech Kass, który poprowadził warsztaty poetyckie dla młodzieży, brał udział w pracach jury Konkursu o Miecze Jagielly oraz spotykał się z miłośnikami swojej poezji.

W rozwój życia kulturalnego miasta angażuje się też samorząd. Starostwo Powiatowe było organizatorem Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego o Miecze Króla Władysława Jagielly, w którym wzięli udział twórcy z całej Polski. Po imprezie opublikowano zbiorki pokonkursowe, zawierające wiersze laureatów. Z inicjatywy burmistrza wydaje się tak indywidualne tomiki wierszy (np. zbiór esejów Benedykta Perzyńskiego *Okiem konserwatysty*), jak również antologie, np. *Działdowski Almanach Poezji*. W 2009 roku ukazał się już szósty z Almanachów. Publikację wspierają również Działdowska Agencja Rozwoju, Urząd Miasta Działdowo, Urząd Gminy Działdowo, prywatni przedsiębiorcy, a czasami sami twórcy.

Gminny Ośrodek Kultury w Płońnicy przy wsparciu Starostwa Powiatowego zorganizował doroczny, w 2010 r. już ósmy, Powiatowy Konkurs Poetycki „Złote Piórko” dla dzieci i młodzieży, wydał też pokonkursowy tomik. Organizatorowi zależało, „aby w naszym powiecie istniał ruch poetycki, aby dzieci i młodzież kształciły piękno języka, poznawały walory swojej mowy, rozwijały się intelektualnie”.

„Nasi” poeci wydają autorskie tomiki, drukują swoje wiersze w prasie lokalnej i regionalnej, w wydawnictwach zbiorowych (*Ciechanowskie Almanachy Poezji, Działdowskie Almanachy Poezji, „Tygiel: kwartalnik elbląski”, „Poezja Dzisiaj”*), biorą udział w konkursach poetyckich, zdobywają nagrody. Hanna Jolanta Wiśniewska i Krzysztof Tabaczka to twórcy z Działdowa o najdłuższym stażu i największym dorobku. Pani Hanna wydała od 1997 r. dziewięć tomików autorskich, a Pan Krzysztof od 1993 r. – trzynaście. Oboje są członkami Związku Literatów Polskich, współautorami *Działdowskich i Ciechanowskich Almanachów Poezji*, laureatami konkursów poetyckich.

Bogumiła Stachowiak, kierownik Gminnej Biblioteki Publicznej w Burkacie, jest organizatorem Biesiad Poetyckich w miejscowościach Burkat, Kurki, Ruskowo i Turza Wielka, na które zaprasza poetów nie tylko z Działdowa. Pokłosiem kilku biesiad jest tomik *Burkackie biesiadowanie tam, gdzie gniazdo bocianie*, zaś za kilka dni ma się ukazać kolejna publikacja tego typu. Pani Bogusia jest autorką wierszy w tomiku ... *przez przyzmat minionych dni*, wspólnie z Tadeuszem Rybarczykiem wydała też zbiór wierszy *Za balustradą snów*. Jej wiersze można znaleźć również w *Działdowskich i Ciechanowskich Almanachach Poezji*.

Wśród miejscowych poetek, które także wydały własne tomiki, są: Anna Barbara Czuraj-Struzik, laureatka VIII Ogólnopolskiego Konkursu Poezji „O złoty Klucz Ciechanowskiego Ratusza” w 2004 r. (*Świata w burszynie i Poezje: pal się błagam życie moje*), Aurelia Sofińska, laureatka XI Ogólnopolskiego Konkursu Poezji „O złoty Klucz Ciechanowskiego Ratusza” w 2005 r. (*Inny raj*) oraz Renata Samoraj, wyróżniona w III Ogólnopolskim Konkursie Poetyckim o Miecze Króla Władysława Jagielly (tomik *Skrzydeł nie porzucaj*).

Również działdowskie szkoły popierają twórczość swoich uczniów i okazjonalnie wydają tomiki wierszy: Gimnazjum nr 1 (*! gdy tak idę swoją ścieżką życia... Miłość niejedno ma imię*), Szkoła Podstawowa nr 3 im. B. Malinowskiego (*Jesień idzie przez...*) oraz Zespół Szkół nr 2 im. Jana Pawła II (*Po drugiej stronie świat(ł)a*). Nasza młodzież licealna sama wydaje tomiki swojej twórczości, np. zbiorowy *Dając tylko miłość dla świata jesteście niczym, dla kogoś jesteście całym światem*, oraz indywidualne – jak np. Paulina Cedlerska, gimnazjalistka, która w piskim Ogólnopolskim Turnieju Jednego Wiersza „O srebrną monetę Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego” w 2007 r. zdobyła I nagrodę za wiersz „Łoskot”. Wśród opisywanych mieści się również *Zanim powiesz* – zbiorek wierszy uczniów oraz ich nauczyciela-polonisty (wydawcą był Zbigniew Mogilnicki, kronikarz Działdowa, a wydanie sfinansowała firma „GEOTOR” z Warszawy). Przykładem miejscowego twórcy, który umieszcawia akcję swoich książek na naszej ziemi jest Krzysztof Wiśniewski, dyrektor Szkoły Podstawowej w Turzy Wielkiej – napisał dwie książki przygodowe dla młodzieży: *Przygoda nad Welem i Konfrater w Gniewie*.

Ze środowiskiem działdowskim utożsamiają się również ci, którzy w naszym mieście nie mieszkają, ale są z nim w jakiś inny sposób związani (ich wiersze można znaleźć w *Działdowskich Almanachach Poezji*): Anna Rywacka-Szafran z Sosnowca, której przodkowie pochodzą z ziemi działdowskiej, Teresa Dwórznik-Romańska z Dłutowa, autorka dwóch tomików *A kiedy...* i *Supelki* (ukazały się w płockim wydawnictwie „Korepetytor”), ks. Jan Paszulewicz, wieloletni proboszcz w Ruszkowie, autor m.in. *Betelemskiej Dobranocki. Jasełek dla najmłodszych dzieci* oraz Dominika Kuźniewska (zmarła we wrześniu 2009 r., na krótko przed śmiercią ukazał się w Gdańsku Jej debiutancki tomik *Kwadraty owalne*).

O działdowskich twórcach pisano na łamach prasy regionalnej oraz w tomikach krytyki literackiej, m.in. w „Poezji dzisiaj” czy w publikacjach Zbigniewa Chojnowskiego (*Zmartwychwstały kraj mowy. Literatura Warmii i Mazur lat dziewięćdziesiątych*) oraz Józefa Jacka Rojka (*Literaci & literatura Warmii i Mazur*).

Działdowo może się poszczycić środowiskiem „historyków piszących”, skupionych w Towarzystwie Miłośników Ziemi Działdowskiej. To autorzy opracowań historycznych, artykułów, przewodników dotyczących historii naszego miasta i okolic: Zbigniew Mogilnicki, Piotr Bystrzycki, Marian Odachowski, Grzegorz Mrowiński, Franciszek Skibicki, Wojciech Wólkowski. Z inicjatywy Towarzystwa ukazują się od wielu lat: „Rocznik Działdowski” i kalendarz *Działdowszczyzna na starych kartach pocztowych*.

Nie jest to pełny opis środowiska działdowskich twórców literackich, jedynie wspomnienie – zwrot uwagi czytelników, że takie w Działdowie prężnie istnieje i obiecująco się rozwija.



Dziennikarz wszechstronny

Pracował Pan w pismach o różnym profilu – codziennych, kulturalnych, społecznych. Pańska praca dziennikarska jest bardzo owocna i bardzo różnorodna, wszechstronna. Jak się zaczęła ta przygoda?

Swój pierwszy artykuł napisałem, będąc uczniem liceum w Mrągowie. Nosił on tytuł „Wczoraj parobek u kulaka, jutro nauczyciel” (to były takie czasy, kiedy istnieli kulacy) – to była historia bogatego gospodarza, który bardzo źle traktował pracującego u niego chłopaka. Napisałem ten tekst do „Sztandaru Młodych” i tak się zaczął mój kontakt z prasą. Miałem co prawda zostać nauczycielem, ale ostatecznie poszedłem w dziennikarstwo. Pracowałem najpierw w olsztyńskim oddziale „Sztandaru Młodych”, potem w redakcji centralnej. Dziennikarstwo studiowałem dopiero później, ale to też były takie czasy, że szukano młodych ludzi. Dla mnie to było coś nadzwyczajnego, bo nagle mieszkałem w stolicy, w bardzo schludnej i ładnej bursie. Mogłem pracować w stołecznej gazecie i jeździć, np. do Nowej Huty, czy do innych, ciekawych miejsc, gdzie się w tym czasie coś szczególnego działo.

Zacynał Pan więc jako reporter. O czym Pan wtedy pisał?

Głównie o tym, co się działo w Związku Młodzieży Polskiej, ale nie tylko – „Sztandar Młodych” zamieszczał przeróżne materiały, bo to wtedy była gazeta, która mogła sobie pozwolić na trochę więcej niż gazety partyjne, na przykład ukazały się w niej głośnie reportaże Kapuścińskiego z Nowej Huty.

Co było potem?

Potem dwa lata pracowałem w prasie wojskowej, a w 1954 r. wróciłem do Olsztyna i zostałem dziennikarzem „Głosu Olsztyńskiego” (który później zmienił tytuł na „Gazeta Olsztyńska”). I to był najdłuższy okres w mojej karierze – w „Gazecie” pracowałem ponad dwadzieścia lat. W 1977 r. zostałem redaktorem „Warmii i Mazur” i przez trzynaście lat redagowałem to pismo, które później – jak wszystkie tego typu tytuły w kraju – zostało zlikwidowane. Ale miałem to szczęście, że nie musiałem przestać być dziennikarzem, bo zacząłem redagować „Masurische Storchenpost” – miesięcznik, który się ukazuje już od dwudziestu lat.

Zatrzymajmy się na chwilę przy „Warmii i Mazurach”. W Pańskim pierwszym artykule redakcyjnym padło kilka postulatów. Miało to być pismo otwarte na wielu autorów, na współpracowników z zewnątrz. Na ile się udało ten postulat zrealizować?

Tak, grono piszących do „Warmii i Mazur” się poszerzyło – udało się pozyskać kilka ciekawych piór – między innymi Hannę Krall, której niektóre teksty ukazały się u nas. Pisali też autorzy z Torunia. Poza tym nawiązaliśmy kontakt z młodymi historykami, socjologami, którzy też chętnie przygotowywali teksty i zamieszczali je na naszych łamach – a współpraca z nimi była łatwa i przyjemna. Poza tym były wkładki literackie poświęcone poszczególnym województwom

– to była główna zasługa Bohdana Dzitki, mojego zastępcy, który je redagował. Te wkładki współfinansowały Wydziały Kultury danych miast i województw, tak że to było dla nas niezbyt kosztowne, a dzięki temu wachlarz tematyczny pisma bardzo się poszerzał – dochodzili do głosu autorzy mieszkający w innych miastach i województwach.

To też był jeden z postulatów odnośnie „Warmii i Mazur” – stworzenie pisma ponadregionalnego.

I to się udało, bo te wkładki ukazywały się regularnie.

Ale i poza tymi wkładkami autorzy „zagraniczni” byli obecni?

Tak, oczywiście. Potem do tych najciekawszych, oczywiście z naszego punktu widzenia, autorów wracaliśmy, nawiązywaliśmy kontakt z nimi i prosiliśmy o ewentualne dalsze teksty.

Czy to wpłynęło na odbiór „Warmii i Mazur”? Zaczęto czytać pismo w całej Polsce?

Nie, poza województwem olsztyńskim nie bardzo. Oczywiście robiliśmy różne próby – wiadomo, że każde pismo chce być atrakcyjne i chce być czytane, więc drukowaliśmy np. Zbigniewa Nienackiego – czy to rozmowy z nim, czy jako zapowiedź fragment jego nowej książki. No i liczyliśmy na to, że problematyka erotyczna przyciągnie czytelników. W tamtych czasach może i miało to jakieś znaczenie, bo tej erotyki nie było wokół pełno, może więc niektórych czytelników przez to przyciągaliśmy, ale też większego znaczenia dla podniesienia nakładu w konsekwencji to nie miało.

W swoich tekstach bardzo często porusza Pan tematykę społeczną...

Tak to już jest, że człowiek swoje zainteresowania uważa za ważne i próbuje to przekazać innym. W „Gazecie” przez dłuższy czas się zajmowałem służbą zdrowia, sytuacją ludzi w szpitalu, ludzi w więzieniu, a więc w izolacji – próbowałem jakoś im pomóc, odpowiedzieć na pytanie, jak można tę izolację przeżyć i wrócić do normalnego życia. To zagadnienie mnie szczególnie interesowało. Ale ciągle też wracałem do problematyki ludności mazurskiej – w 1956 r., kiedy można było pisać na ten temat i mówić całą prawdę, należałem do tych, którzy ją głosili, którzy mówili, że nie można ludziom odebrać języka niemieckiego, że wtedy nie będą przyjaźnie nastawieni do Polski, że trzeba im ten język zostawić, stworzyć możliwość korzystania z książek niemieckich, czy z jakiejś gazety w języku niemieckim. I to się wtedy udało – ukazywała się na naszym terenie wrocławska gazeta „Arbeiterstimme” i miała nawet jednostronicową mutację olsztyńską, którą przez ponad rok redagowałem. Tam właśnie te moje teksty mogły się ukazać. To trwało mniej więcej rok, a później zaczęto już znów „przykręcać śrubę” i nasze teksty, które wysyłałaliśmy do Wrocławia, były przez tamtejszego naczelnego odrzucane. Drukowano w to miejsce pisarzy enerdowskich. Ta gazeta miała wcześniej u nas sporą prenumeratę, ale później ludzie

tutejsi nie znajdowali w niej niczego dla siebie, prenumerata spadała i w końcu gazeta przestała się ukazywać na naszym terenie.

Do tego wrócił Pan w „Masurische Storchenpost”.

No tak, to jest moje dzieło i jestem bardzo zadowolony, że tak się stało. A moja główna idea polegała na tym, żeby Mazurzy i Warmiacy mówili o sobie sami – bo do tej pory zawsze mówili o nich inni, często nieznający problematyki, i orzekali, kim się jest – Niemcem, Polakiem, Mazurem, Warmiakiem. A „Masurische Storchenpost” daje nam okazję, byśmy mogli mówić sami o sobie. Możemy też pytać tych ludzi, kim są i kim się czują – wiadomo, że ta tożsamość jest skomplikowana, że to jest często niejednorodne. Janusz Małłek, kiedy został doktorem honoris causa UWM, powiedział, że przemawia w imieniu Mazurów. Mazurów, uważających się za Niemców, Mazurów, uważających się za Polaków, i tych, którzy uważają się po prostu za Mazurów. I taki jest, z grubsza rzecz biorąc, ten podział. A do tego dochodzą (tak na przykład jest z członkami naszego Stowarzyszenia Mazurskiego) ludzie, uważający się po prostu za Ostpreussen, czyli za Prusaków Wschodnich, no i jest trochę Polaków – przede wszystkim są to mężowie Mazurek, którzy też należą do naszego Stowarzyszenia. Także taki jest ten wachlarz – od Niemca do Polaka.

W tym czasie, kiedy zacząłem redagować „Masurische Storchenpost”, wiele się zmieniło w stosunkach polsko-niemieckich. Bardzo istotnym było, że na te tematy zaczęli pisać młodzi ludzie, którzy znali dobrze jeden i drugi język, że właściwie ustalo to wzajemne zwalczanie się, często oparte na nieznamości rzeczy. Bo często ludzie atakowali się nawzajem, nie czytając swoich prac lub czytając je w wadliwym tłumaczeniu. A w ostatnich latach nastąpiło takie zjawisko, że po jednej i po drugiej stronie są ludzie, którzy znają obydwa języki i często znają się też nawzajem. W ich publikacjach jest już jedno spojrzenie na stosunki polsko-niemieckie i na los ludzi pogranicza, właściwie już opowiada się całą prawdę i po jednej, i po drugiej stronie. I z tego też możemy korzystać, możemy to prezentować na naszych łamach.

Ale to, co się dzieje w nauce, co jest właściwie już uporządkowane i jednolite, nie wszystkim przenika do gazet. Tu właśnie jeszcze do dziś zdarza się mnóstwo pomyłek, uproszczeń, jakieś takie historie. Na przykład o „Masurische Storchenpost” – kiedyś powiedziałem, że jestem zadowolony, że robię ten miesięcznik za polskie i niemieckie pieniądze – połowę tych kosztów ponosi niemieckie Ministerstwo Spraw Zagranicznych, połowę polskie Ministerstwo Spraw Wewnętrznych. A skoro to współfinansuje, to znaczy też, że akceptuje treści tego pisma i nie traktuje tego jako czegoś obcego, wrogiego. I nie jest też tak, że Niemcy płacą i mają jakieś oczekiwania, które my spełniamy. A jedna dziennikarka napisała, że pismo jest finansowane przez niemieckie Ministerstwo Spraw Zagranicznych kropka – i w ten sposób całą naszą ideę zniszczyła. Niestety, jeszcze do dziś w różnych publikacjach zdarzają się podobne pomyłki.

Ciągle Pan do tej tematyki powracał – szczególnie do biografii „Słynnych Mazurów”, np. Małłka. Co Pana szczególnie w tych postaciach interesowało?

Pisałem nie tylko o Mazurach, ale i o Warmiakach, np. o Zientarzew-Malewskiej. A co mnie szczególnie interesowało? Po pierwsze byli to ludzie, których dobrze znałem. To nie było tak, że poszedłem do niego, czy do niej, na wywiad na pół godziny – stykałem się z nimi i rozmawiałem wiele, wiele razy i wiadomo, że wtedy można więcej o człowieku powiedzieć – poznaje się go lepiej. Jeżeli chodzi o Małłka na przykład, to był tragiczny reprezentant ludności pogranicza, tego mazurskiego rozdarcia pomiędzy „polskością” a „niemieckością”. Małłek nie chciał, by autochtoni się całkowicie spolonizowali, ale żeby przystosowywali się do życia w Polsce, żeby się nauczyli języka polskiego, żeby funkcjonowali w polskiej rzeczywistości i w polskim społeczeństwie. I wobec niektórych to osiągnął, choć nie wobec wszystkich. Ale on sam był stale w tym rozdarciu, które potem się jeszcze spotęgowało, kiedy jego syn, pastor z Ukty, wyjechał do Niemiec. Wtedy nie tylko on, ale i otoczenie uznało to za klęskę – krzewiciel polskości, którego syn wyjeżdża do Niemiec. Małłek to wszystko przeżywał, ciągle był między młotem a kowadłem. Myślę, że cały czas chciał być po prostu dobrym człowiekiem i dla jednych, i dla drugich, a w sytuacji konfliktowej, to nie zawsze jest możliwe i trzeba stanąć po jednej ze stron. To rozdarcie jest dla mnie symbolem ludności pogranicza, poszukiwania swojej tożsamości.

Napisał Pan kiedyś taki tekst „Siła i niemoc dziennikarskiego słowa”? Co Pan częściej odczuwał – siłę czy niemoc dziennikarskiego słowa?

Człowiek młody zawsze w coś wierzy. Wtedy też wierzy się w tę moc słowa, wierzy się, że ono może zmieniać rzeczywistość. I wydaje mi się, że nie tylko ja, ale też inni moi koledzy, koleżanki, to byli ludzie, którzy w coś wierzyli, którzy czymś się pasjonowali. Zajmując się służbą zdrowia, sądziłem, że jak napiszę o konkretnej sytuacji w szpitalu, czy – powiedzmy – pochwalę lekarza, który dokonał udanej operacji, to skutek będzie taki, że inni też się będą bardziej troszczyli o swoich pacjentów, i że służba zdrowia będzie lepiej funkcjonowała. A jak opiszę sytuację w więzieniu, to nikt nie będzie się nad tym więźniem znecał. Poszerzając to o stosunki polsko-niemieckie, też wierzyłem w to, że ludzie będą coraz lepsi. I w związku z tym te stosunki będą coraz lepsze. Z biegiem lat człowiek gromadzi kolejne doświadczenia i przekonuje się, że jednak nie tak wiele można zmienić.

Oczywiście gazety odgrywają istotną rolę i wpływają na kształt życia i na nastroje. Ale często pobudza się te negatywne cechy, a wiara w to, że ludzie będą coraz bardziej sprawiedliwi, coraz mądrzejsi, ta wiara przygasa. Dziś dla mnie rola dziennikarza zaczyna się sprowadzać do roli kronikarza, który odnotowuje to, co się dzieje, lub pisze o życiu jakiegoś człowieka, żeby po nim coś zostało. Żeby nie było tak, że człowiek umarł i już nikt o nim nie pamięta, i to, co on przeżył, również idzie w niepamięć.

Rozmawiała: Sylwia Bialecka

Sylvia Białecka Chwalić Boga i sponsorów – piętnaście lat „Portretu”!

15

Będzie to mowa nad trumną, a właściwie nad grobem już mocno uklepanym – jeszcze tylko pomnika brak. Pismo „Portret” od jakiegoś czasu już nie istnieje – ostatni numer ukazał się pod koniec 2009 r. Zamiast świętować rocznice, opublikować jakieś wspomnienia, pocztę jubileuszową (jak za starych dobrych lat w szanujących się pismach) – czarna okładka w klepsydrowej stylistyce – numer ostatni.

Teraz oni

Historia, a raczej prahistoria, brzemienny w skutki okres prenatalny „Portretu” zaczął się na ulicy Bałtyckiej w Zespole Szkół Elektronicznych (nazywanych zresztą przez „Portretowców” zespołem szkół elektroniczno-humanistycznych). Nie wiadomo, dlaczego nie w I czy choćby w II LO, ale właśnie w „elektroniku” pod opieką Alicji Bykowskiej-Salczyńskiej wykształciła się grupka utalentowanej i – przede wszystkim – chętnej literacko młodzieży. Nie bez znaczenia jest też fakt, że młodzież ta w szerszym gronie spotykała się w Klubie Literackim Młodych, prowadzonym przy MOK-u przez Iwonę Łazicką-Pawlak. W tych miejscach, wokół tych dwóch kobiet powstał twórczy ferment, zaczyn młodego (wówczas) olsztyńskiego środowiska literackiego. Ten ruch zaowocował krótkim żywotem czasopiśmienniczym – ukazującym się w latach 1991-1993 „Teraz My?” – trybuną „młodego i bardzo młodego Olsztyna literackiego”. Na łamach tego właśnie, wydawanego początkowo przez ZSE, a później również przez WSP, pisma debiutował Mariusz Sieniewicz, pierwszy redaktor naczelny „Portretu”.

„Teraz My?” – tytuł mówi wszystko. Piotr Siwecki w otwierającym pismo tekście pisze o pokoleniu, które samo nawet nie wie, czy chce być jakimkolwiek pokoleniem, a jeśli już – to „pokoleniem pytań”. Twórcy nie chcieli „formułować programu literackiego *sensu stricto*”, chodziło głównie o „ujawnienie własnej twórczości” (ta cecha jest jeszcze silniej wyekspozowana w „Portrecie”). Było to pismo skromne, samo siebie niepewne, w porównaniu z „Portretem” grzeczne – autorzy jeszcze nie wydostali się spod opiekuńczych skrzydeł, a może tylko nie chcieli urazić uczuć... W pierwszym numerze młodzież prowadzili, jakby dla ośmielenia, twórcy uznani – Alicja Bykowska-Salczyńska i Kazimierz Brakoniecki. Z „dorostłych” publikowała też Iwona Łazicka-Pawlak. W „Teraz my?” poczytać można było również teksty absolwentów ZSE, aktorów teatru „Formy”, no i oczywiście młodych, debiutujących albo tylko o niewielkim dorobku: wspomnianego Mariusza Sieniewicza, Krzysztofa Beśkę, Piotra

Siweckiego, Mirosława Józefa Markowskiego i innych. Publikowali utwory literackie, próbowali sił w krytyce.

Dwa lata później z podobnej potrzeby „ujawniania własnej twórczości” powstał „Portret”. Był on pismem zupełnie innym, poważniejszym, bardziej samodzielny i dużo lepszej jakości niż „Teraz My?”, rozbudowanym o deklarację „rozstrzygnięć dotyczących młodej literatury Olsztyna”. Pierwszy artykuł Mariusza Sieniewicza – „wstęp homonistyczny” prezentował założenia twórców pisma w antyprogramowej otocze: nie chcieli być grupą literacką, zgromadzoną wokół jednego doświadczenia, pokoleniowej traumy, wspólnej ideologii. Poza kilkoma numerami nie było też artykułów „od redakcji”, by czytelnika nie urabiać, od numeru szóstego pojawiły się jednak „hasła przewodnie” – charakterystyczne zwłaszcza dla późniejszego okresu „Portretu” pod redaktorską batutą Bernadetty Darskiej. A były to np.: ciało, wybory, promocja, codzienność, przemoc – sugerowały tematykę, czasem wyprowadzając w pole, koncentrowały pismo wokół jednego tematu – choć trzeba przyznać, dość luźno.

W całym „Portrecie” widać myślowy ferment, nieustanny kalejdoskop pomysłów, idei i prądów – twórcami byli przecież studenci, którzy już z racji studiowania bombardowani są coraz to nowymi informacjami, szkołami, wykładami. Z biegiem lat „Portret”, podobnie jak ludzie, zmieniał się, ale atmosfera awangardy, nowości i buntu (mimo że twórcom stuknęła trzydziestka, a nawet więcej) pozostała. Idea różnorodności rozszerzona została na formę – kolejne numery ukazywały się w wymyślnych „szatach”. Do największych hitów, i osobistych ulubieńców, zaliczam numery ph. „Masz pomysł na kaske?” (idealny do wallenrodowania w kościelnej ławie), „Ciało” – popis edytorskiej fantazji oraz brulionowy numer „Starość”. Numer trzynasty nie ukazał się.

Portretowcy – wywrotowcy?

„Portret” na początku jakoś się nie spodobał... Podpadł nieco dziennikarzom, najpierw tym młodszy, ale już „w olsztyńskim światku bywałym”, a potem i nestorom, a właściwie nestorce – Marynie Okęckiej-Bromkowej. „Borussia” szczęśliwie nie komentowała... Ale wzajemną niechęć „Borussii” i „Portretu” intensywnie wmawiano obydwu obozom (jeden z artykułów w pierwszym numerze zawierał krytyczną uwagę odnośnie idei borussiańskich – okrzyknięto go od razu programowym, o szopce, w której „Brakoniecki” wyrzywa młode pędy nie wspominając) – jeszcze na początku roku 2010 na spotkaniu autorskim Brakonieckich prowadzonym przez Bernadettę Darską tę nieprzyjaźń trzeba było dementować...

„Portret” był, zwłaszcza w początkowej fazie istnienia, forum młodego środowiska literackiego Olsztyna. Środowisko to było, oczywiście, młodzieńczo bezkompromisowe i krytyczne, ale potrafiło być też otwarte, niezasłепione rokiem urodzenia – wszak „atawistycznie i na przekór heglistom rzecz ujmując” wszyscy „urodzili się około 30 000 lat temu, gdy Ktoś zepchnął człowieka z drzewa”. Na łamach byli obecni twórcy „starszego pokolenia”, byli i zupełnie młodzi. Myślę, że dla „Portretowców” jedyną wytyczną i wykładnię stanowiła jakość – oczywiście rozumiana w ich sposób – pozytywnym tego pisma było, że nikogo nie odrzucał „za nazwisko”, co najwyższej za słaby (w ich rozumieniu) twór.

Grupa studentów i znajomych, właściwie niezrzeszona, niewalcząca pod wspólną programową egidą, niewpatrzonej w jedną ideologię, potrafiła stworzyć coś wspólnego i różnorodnego jednocześnie. Zwłaszcza początkowe inicjatywy, jak np. trójgłos recenzji tomiku Krzysztofa Beśki, pokazywały tę cechę „Portretu”, którą Mariusz Sieniewicz nazwał „polifoniczną mozaiką głosów”. Nie było poklepywania się po plecach tylko dlatego, że z jednego miotu, koleśiostwa. Nie było odmowy dla tych „z innej bandy”. Na ogół „Portret” kojarzy się z opozycją wobec „Borussii”. I wiele w tym prawdy, jednak na łamach pisma więcej jest pozytywnych wzmianek o „Borussii” niż negatywnych. Był to krąg, z którym „Portret” podjął dyskusję poważną, merytoryczną, pozbawioną argumentów personalnych, z którym nie zgadzał się w wielu punktach, ale w którym zauważał też wiele dobrej poezji i dobrych inicjatyw. Nie było to bezsensowne ujadanie dla ujadania – pojawiały się złośliwości, otwarta krytyka, czasem dosadna, zwykle niemieszcząca się w „zasadach dobrego wychowania” (choćby krytyka poezji Zbigniewa Chojnowskiego), ale jednocześnie nieprzekreślająca całości nurtu borussiańskiego, zauważająca wszelkie pozytywne przejawy i odnotowująca skrzętnie wszelką aktywność. Myślę, że „Borussii” takie czujne oko do brze zrobiło.

Było w historii pisma kilka momentów nieszczęśliwych, kiedy młodym głowom zabrakło dyplomacji. No, bo po cóż było szargać „Panią Bromkową” i oskarżać ją niemal o kolaborację za czasów PRL? Podczas lektury „Portretu” ma się czasem wrażenie „zadymy dla zadymy”. Na przykład okładka-temat numeru 6/1998 „Ocenzurowano” – zamiast wstępniaka zdjęcia twórców pisma w stylistyce policyjnej kroniki, z opisami „winy” portretowanych: „ultrakatolik”, „antysemity”, „nimfomanka”, „matka polka”, „arab”, „satanista”. A numer jak numer – proza, poezja, szkice, recenzje, grafika. Na zewnątrz było więc rewolucyjnie i niepokornie, a w tekstach – potrzeba mówienia, wyrażania siebie, pisanie o sprawach ważnych, czyli normalna bolączka każdego pokolenia, a nawet każdego człowieka myślącego. I to jest niezależne od tego, czy człowiek ten posługuje się „ładnym”, czy też „rynsztokowym” językiem. No i te fallusy... czy naprawdę dla dwudziestoparolatka w latach dziewięćdziesiątych dwudziestego wieku było to tak ekscytujące?

Literackie rozstrzygnięcia

Na „Portret” składało się kilka stałych działów – to, co w piśmie literackim znaleźć się powinno, czyli poezja i proza, szkice i recenzje. Były też eseje i felietony, dotyczące filmu, filozofii, muzyki i teatru. Środkową część pisma zajmowała Galeria Środek, koniec twór zwany Hyde Park, a w nim zwykle krótkie utwory dramatyczne. Ukazywały się również przekłady.

Niezwykle ciekawą rubryką, według mnie charakteryzującą literacką część środowiska „Portretu”, były szkice ph. „Ars longa, vita brevis”, w których autorzy podejmowali próbę ponownego odczytania twórczości olsztyńskiej z lat ubiegłych. Było w tym coś bardzo typowego dla „Portretowców” – wszystko chcieli widzieć po swojemu, nie polegali na wcześniejszych opiniach i ocenach, prześwietlali na nowo, z osobistego punktu widzenia. Nie pytali przy tym o autora, jego biografię, czasy, w których żył, jedynym ich pytaniem było: „Czy zostało coś z tej dawnej-niedawnej poezji? Co równie ważnego i aktualnego dzisiaj?”. Szukali zatem zawsze czegoś dla siebie i czegoś ponadczasowego. Trzeba przyznać, że niewiele zadowolających ich tekstów znaleźli. Stefan Połom okazał się „kreatorem pustego słowa”, a Jerzy Ignaciuk „średniakiem”, któremu „czas nie służy”, Władysław Katarzyński poraził „pustką myślową świata wewnętrznego”, a Jerzy Adam Sokołowski przygnębił pozbawionymi sensu „występami tresowanych słów”. Podobnie teksty w antologii młodych poetów olsztyńskich pt. „Mutacje” z 1976 roku „sprawiają przygnębiające wrażenie”, są bowiem „gremialną, wielką ucieczką od rzeczywistości w ludyczną zabawę słowem, ukrywaniem przeżywania świata i oceny jakości istnienia za fajnymi, ładnie brzęczącymi frazami”. „Zagubieni w lesie” Henryka Panasa to „mazurski melodramat” – jego postaci są „manekinowe”, miłość – „ezoteryczna”. A najbardziej „wk...a”, że żołnierz się nie „wk...a”. Brakuje więc krwi i – znowu – prawdy. Powieść Górczyńskiego „Ktoś po drugiej stronie” to „czystej wody literatura dla melancholików i idiotów w jednym”. Ale czasem dostało się i młodszemu – Katarzyna Madej omawiała tomik „Granice” Mirosława Józefa Markowskiego – to już stajnia „Teraz My?”. Oczywiście dużo w tym było studenckiej przekory, ironii, złośliwości, sarkazmu.

Nieco mniej krytycznie potraktował Karnowski poezję Kruka – właściwie zarzucił mu „tylko” *idée fixe* – „tragiczny los rodziny, ziemi, siebie samego”. Jednocześnie jednak dostrzegł, że „nie ma w tym pozy, że ten ból (...) nie jest częścią literackiej gry”. Również w debiucie poetyckim Kazimierza Brakonieckiego mimo „asocjacyjnego natłoku, zgiełku znaczeń i metafor” Krzysztof Kowalewski dostrzegł „wyraźnie zarysowany program poetycki”. Najwytrwalszy z „ar-slongistów”, Tomasz Karnowski, przypomniał również „Skirolawki” Nienackiego, które uznał nawet za świetny rys socjologiczny i psychologiczny mieszkańców mazurskiej wsi z jej ludnością mieszkanką.

I nic w tym dziwnego, a nawet to bardzo wartościowe, że młodzi zaczęli oceniać swym szkiełkiem i okiem tych przed laty publikowanych. W większości byli do tego dobrze przygotowani – wykształ-

ceni lub właśnie kształceni poloniści – i zapewne wiedzieli, jak tekst poddać „intelektualnej obróbce” – zresztą widać w tych szkicach, jak sprawnie rozplątują sieć literackich nawiązań i odwołań, umieszczają poszczególnych twórców w nurtach stylistycznych. I to nie brak literackiego „obycia” im w tekstach „obrabianych” przeszkadza (wyjątkiem może jest szkic dotyczący poezji Władysława Katarzyńskiego), ale brak sensu, prawdy i rzeczywistości – nie odnajdują w tych utworach ani jednej myśli, która by do nich przemówiła – same banały (może i kiedyś aktualne) oraz pozy „ozdobione” zręczną żonglerką słów.

Zależni tylko od siebie

Zdumiewa i godna pozazdroszczenia jest niezależność twórców „Portretu”. Nieprawdą jest, że po komunie można pisać wszystko. Można, ale tylko za własne pieniądze. Jak się drukuje za cudze, trzeba się z cudzym liczyć. A „Portretowcy” potrafili w tym samym zeszycie dziękować Prezydentowi Olsztyna za wsparcie i obśmiewać (aczkolwiek ledwie drgnęła im powieka) Olsztyńskie Lato Artystyczne, o którym powiedzieć można było tylko tyle, że się „zaczęło”, „trwało” i „skończyło”. Czy dziwić jeszcze może, że się urząd zniecierpliwit (zwłaszcza postraszonej Prokuraturą – o nieszczęsny artykuł Pani Bromkowej)? Niezależność stawiali „Portretowcy” na pierwszym miejscu – sponsor, który miał zastrzeżenia do publikowanych treści, mógł tylko przestać dawać pieniądze. Nie dawali się

zstraszyć, zdominować, nawet za cenę nieregularności pisma. Ta bezkompromisowość jest naprawdę godna uznania. Potrafili jednocześnie o środki finansowe skutecznie zabiegać – wśród donatorów „Portretu” znalazły się WSP, UWM, urzędy, samorządy, fundacje, środki ministerialne, a nawet kancelaria notarialna. Niewielu było niestety sponsorów strategicznych – zwykle udawało się zdobyć pieniądze na jeden, dwa numery – co zmuszało pewnie redaktorów do ciągłych poszukiwań i wycierania kolejnych stołków w kolejnych poczekalniach.

„Portret” był forum dla swojego pokolenia – najpierw dla młodych i wściekłych, potem dla rozważniejszych i dojrzałych, ale wciąż dyskusyjnych i awangardowych, wyznaczających nowe szlaki. Zawsze niepokorny, niepodporządkowany, nieliczący się z nikim. Dziś już trudno znaleźć taką grupę-niegrupę, która, będąc różna, potrafi stworzyć coś spójnego i prawdziwego (na Olsztyn Wschodni wciąż czekamy, ale może już na próżno...).

Wielu pewnie spyta o przyczynę „upadku” „Portretu” – ale tak naprawdę to nie był upadek. W moim odczuciu była to raczej eutanazja. Tak, jak nie godząc się na otaczającą rzeczywistość, istnieli, tak z tych samych przyczyn istnieć przestali. Nie chcąc usłyszeć z ust kogoś innego: „Przestajecie się ukazywać”, powiedzieli: „Przestajemy się ukazywać”. Od początku do końca „Portret” był aktem woli.

Chwalić Darską, Sieniewiczę i wszystkich, co się przyczynili – piętnaście lat „Portretu”!



„Czerwiec” kolaż Ewy Pohlke insp. poezją K. Szatravskiego.

Krzysztof Dariusz Szatravski

i jeśli to wszystko chciałbyś nazwać
życie
przetracone jak lot wróbla
strzęp toczący się za samochodem
i jeśli to wszystko chciałbyś nazwać
mądrość
pewna i absolutna jak transparent
ulotki rozsypane w poczekalni u internisty
i jeśli chciałbyś nazwać to jeszcze
miłość
spełniona jak wiązanka róż
wczorajsza, ułożona pośpiesznie
w kwaciarni na rogu
i jak mógłbyś to właściwie nazwać
wszystko
przesypane i policzone
do ostatniego kólecčka, nakrętki
i co właściwie mogłyby znaczyć
słowa
toczące się cicho słowa
których nie zdążyłeś się jeszcze nauczyć

Marek Jędrasik

Symbolika mowy i pisma w ikonografii (na przykładzie kultur Mezoameryki)

Obiektem zainteresowania sfery intelektualnej każdej religii bardzo często bywa język, rozumiany przez kapłanów jako narzędzie realizacji celów socjotechnicznych. Konsekwencją takiego spojrzenia na treści przekazu religijnego jest utożsamienie sacrum z językiem, mową, słowem, logosem. Było to zawsze słowo twórcze – takim się staje, gdy się go używa w celach socjotechnicznych wobec wiernych. Z tego punktu widzenia tożsamość sacrum z językiem jest ostateczną tajemnicą każdej ezoterycznej wiedzy kapłańskiej. Skoro zaś zaangażowanie emocjonalne wiernych w sacrum jest źródłem jego obiektywizacji, czyli tworzenia różnicy pomiędzy słowem a bytem, więc owo zaangażowanie było zawsze drugim po języku przedmiotem zainteresowania intelektualnego kapłanów. To ono doprowadzało do absolutyzacji pewnego sposobu użycia słów. Rozpatrując wymiar socjotechniczny religii, trzeba przyjąć, iż teoria języka wyrażana w przekazie religijnym musiała być zawsze zakodowana, ukryta pod systemem symboli, metaforycznie interpretowanych przez kapłanów. W związku z tym możemy przyjąć, że w każdej ikonografii sakralnej będziemy mieli do czynienia z różnymi systemami symbolicznego przedstawiania języka jako formą kodowania jego teorii w przekazie religijnym. Interpretacja ikonografii przedkolumbijskich kultur Meksyku z powyższego punktu widzenia umożliwia znajdowanie wzajemnych metaforycznych związków pomiędzy różnymi jej motywami.

Podstawowym symbolicznym znakiem mowy w całej Mezoameryce

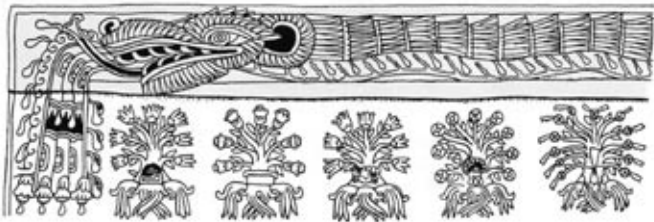


była ślimacznica, dymek wydobywający się z ust mówiącego. Symbolizuje ona w języku Azteków, Nahuatl, pojęcie *tlatoa*: „mówić”. Ów znak mowy jest bardzo stary, gdyż występuje już w Teotihuacanie¹, o czym świadczą freski tam odkryte. Powyższe spirale były również symbolem dymu,

czegoś, co się dymi, pali – *popoca*. W zależności od wzajemnego ułożenia dymki nabierały określonego znaczenia. Znak mówienia – *ilhuia* – był przedstawiany za pomocą dwóch dymków skośnie ułożonych (w kodeksie Mendoza znak ten występuje z pisarzem zapisującym swoje wypowiedzi). W związku z tym symbolem powstaje pytanie o wzajemny związek tego znaku dymienia/palenia z procesem mowy. Współcześni interpretatorzy uznają ów znak za czysto konwencjonalny – ze względu na trudność odnalezienia. Jednak dzięki przekroczeniu poziomu ontologicznego i poszukiwaniom tego związku w kontekście naturalnej symboliki mowy, można znaleźć umotywowanie metaforycznej relacji ognia z mową. Związek ten powstaje dzięki dymowi, którego źródłem jest ognisko. Dym wznoszący się w powietrze, ku górze, symbolizował słowa wypowiedzane. Tak jak one unosił się w powietrze, będące dla nich naturalnym medium. Wraz z takim skojarzeniem spalanie rzeczy

materialnych stało się symbolem ich przekształcania w słowa, w mowę – ich przejścia w sferę językową. Takie symboliczne rozumienie spalania stało się podstawą występowania ofiar całopalnych w większości religii świata, sacrum identyfikowane przez kapłanów ze sferą mowy, zawsze odnoszono do kierunku góry i powietrza. O takiej symbolice ognia świadczy również rozpowszechniony obrzęd kremacji zwłok. Wyrażał on w sposób metaforyczny przejście zmarłego ze sfery cielesnej doczesności do sfery werbalnej pamięci danej wspólnoty, czyli do sfery sacrum. Ogień, będący źródłem dymu, tworzył różne zapachy, które podobnie jak słowa unosiły się w powietrze. Obyczaje liturgiczne związane z kadzidłem miały więc podstawy w metaforycznym znaczeniu zapachów jako słów wypowiedzanych – w ten sposób odpowiednie aromaty odnosiły się sfery sacrum, jakim była sfera mowy. Również w związku z tą symboliką przedstawiano na wizerunkach różnego rodzaju ozdoby nosa, ust oraz uszu, symbolizujące wyjątkowe zdolności językowe ich posiadacza. Można przyjąć, że również dzięki tej symbolice w Mezoameryce zaczął się rozwijać obyczaj palenia tytoniu jako metaforyczne przedstawienie procesu mówienia i słuchania, czyli wypuszczania i wciągania dymu przez usta. Związek dymu z powietrzem, a także z mową, doprowadził do tego, że porównywano go do piór ptaków wzbijających się w górę, czy pachnących kwiatów. Jednak oprócz aspektu zapachowego kwiaty nawiązywały też do wymiaru wzrokowego, związanego z kształtami i kolorami, dlatego też w naturalny sposób połączyły w sobie symbolikę słowa wypowiedzane i zapisywane (np. dzięki podobieństwu obrazków pisma azteckiego do kolorowych kwiatów, rozkwitających pod wpływem światła słonecznego – potrzebnego również do odczytywania). Terminy związane ze słońcem i blaskiem kwiatów wskazują na znaczenie światła potrzebnego do ich wymalowania oraz odczytania jako znaków pisma. Do samego ich zapisu natomiast oprócz światła potrzebna była woda jako naturalny rozpuszczalnik farb, za pomocą których były one malowane. Na metaforykę owych wodnych farb wskazują takie słowa jak: *xochiatl* – „wodny kwiat”, a także „malowane wody” (*xochiacontzin* – „naczynie kwitnącej wody”, *atlaqui* – „malować wodą”, *chalchihuahatl* – „nefrytowa woda”). W tym miejscu warto wspomnieć o aspekcie zwrotnym: kwiaty potrzebowały do rozwoju i rozkwitu wody, w związku z czym pismo zostało również skojarzone z deszczem oraz burzą, z błyskawicami oraz gromami jako metaforą przejścia od sfery dźwiękowej – mowy – do sfery optyczno-światłowej – pisma – za pomocą malowania znaków wodnymi farbami. Efektem tego symbolicznego związku był związek deszczu z kwiatami, które spadają, kropią, mżą jak deszcz na ziemię. Następnie wraz z personifikacją burzy przez boga deszczu *Tlaloka* zaczęto wyobrażać sobie proces zapisywania znaków jako wynik jego płaczu, łez, wypływających z jego oczu. Jest w tym antropomorfizmie powiązanie między oczami (jako warunkiem zapisu i odczytania znaków pisma) a deszczem (jako symbolem wodnych farb). Taki punkt widzenia wyjaśnia połączenie deszczu z symbolami oczu oraz kwiatami na malowidłach ściennych z Teotihuacanu.

¹Miasto prekolumbijskie, obecne stanowisko archeologiczne położone na centralnym płaskowyżu, na północnym wschodzie od miasta Meksyk. Na terenie płaskowyżu, od II w. p.n.e. do II w. n.e. powstało wielkie prekolumbijskie centrum religijne związane z kulturą ludów Mezoameryki. Wokół centrum istniało miasto, którego największy rozkwit przypadał na IV-VII w.



Występowanie upierzonego oka, które prawdopodobnie stanowiło symbol odczytanego znaku pisma, stającego się w ten sposób podobnym do ptaka, było bardzo częstym motywem w Teotihuacanie. Takie oko widać na obrazie powyżej – we wnętrzu czwartego kwitnącego drzewa. Ogólnie można stwierdzić, że w ten sposób kwiaty, kwitnące na drzewach, uzyskały głębsze znaczenie symboliczne. Trzeba zaznaczyć, że było to związane z materiałem, z jakiego wytwarzano malowane kodeksy. Zainteresowanym etnologią ludów pierwotnych z pewnością jest znane pojęcie „tapa”. Słowo to pochodzi z Oceanii – a konkretnie z Tahiti i Wyspy Cooka – gdzie w taki sposób określano tkaniny wytwarzane z rozbitej wewnętrznej kory drzew. W takich celach posługiwano się korą różnych gatunków (przede wszystkim z rodziny drzew morwowatych – *Morus*, *Broussonetia*, *Ficus*): zdzierano ją z drzewa, moczono przez kilka dni w wodzie i wystawiano na słońce, co ją zmiękczało.

Później oddzielano wewnętrzną warstwę, czyli łyko, od strony zewnętrznej. łyko było najbardziej elastycznym i trwałym elementem kory i podlegało dalszej obróbce. Jego włókna układano na twardej powierzchni w krzyżujące się warstwy, które rozbijało specjalnym pobijakiem. Resztki soku sprawiały, że surowiec w wyniku rozbijania ulegał sklejanemu, tworząc jednorodną powierzchnię. Gotowe tapa były malowane w określone wzory lub zdobione metodą drukowania za pomocą drewnianych stempli. Łączenie części stroju polegało na namoczeniu brzegów materiału, następnie ich sklepywaniu i suszeniu. Okazuje się, że również Indianie z obu Ameryk znali i stosowali technikę tapa. Ci z Ameryki Południowej posługiwali się włóknem agawy, które wydobywali z liści za pomocą ich opalania, natomiast Indianie północnoamerykańscy – korą cedrów. Produkcja tapa meksykańskiego była podobna do wcześniej opisanej. Najpierw ścinano gałęzie określonych rozmiarów i pozbawiano je kory, rozdzielając wewnętrzną łyko od zewnętrznej warstwy, później zaś je moczono w bieżącej wodzie i suszono na słońcu. Następnie gotowano je w roztworze popiołu drzewnego lub też roztworu *nixtamal*, czyli mieszanki ziaren kukurydzy z wapnem. Po wyplukaniu układano pasy łyka w kratkę i ubijano na twardej powierzchni za pomocą pobijaków. Powstałe arkusze *amatl* suszono na słońcu. W Mezoameryce wytwarzano *amate* z drzew należących do rodziny *Moraceae*, takich jak morwa i drzewa figowe. Do skonstruowania kodeksów meksykańskich używano *amate* najcieńszego i najbielszego spośród całej produkcji przeznaczony do wytwarzania ubiorów. Można więc uznać, że w wyniku tego w sposób naturalny malowane księgi Mezoameryki kojarzono

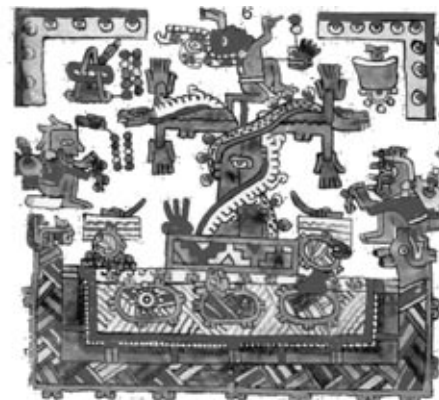


Abb. 8. Hieroglyphe Quauhnauc. Codex Mendoza 24, 1.

z drzewami. Majowie nazywali owe kodeksy *analte*, czyli „drzewami, które mówią”. W kodeksach meksykańskich natomiast występuje znak *Quauhnauc*, przedstawiający „drzewo, które mówi”. W ten sposób drzewo kwitnące stało się metaforyczną nazwą malowanych kodeksów. Oczywiście, nie jest to umotywowane jedynie materiałem, z którego były one wytwarzane, ale również symbolicznym znaczeniem kwiatów jako słów wypowiedzianych i pisanych. Symbolika ta była powszechna w Mezoameryce już od okresu klasycznego. Wraz z powstaniem tej złożonej metafory malowanych kodeksów jako kwitnących drzew czymś naturalnym stała się więc identyfikacja ptaków siedzących na drzewach z osobami czytającymi lub słowami odczytywanymi. W końcu zaś naturalnymi symbolami słów wypowiedzianych lub zapisanych stały się wszystkie istoty latające, nie tylko ptaki, ale również owady, w tym motyle – nie tylko ze względu na ich związek z powietrzem, ale i z bogactwem kolorystyki skrzydeł.

W El Taji, stolicy Totanaków, znajduje się relief, na którym przedstawiono powiązanie strzał (lub ośczepów – reprezentujących mowę) oraz tarczy (w danym wypadku reprezentującej lustro, czyli „odbicie”, „odwzorowanie”) z symbolem pisma. Zarówno strzały jak i puklerz połączono z dwoma splecionymi ze sobą węzami, które prawdopodobnie oznaczały mitycznego węża ogniowego, związanego z dymem i mową, oraz węża burzowego, związanego z deszczem i pismem. Taka wizja

podstawowej struktury kosmosu występowała powszechnie w całej Mezoameryce (można ją m.in. zobaczyć na 2 stronie kodeksu misteckiego Selden. Tam dwa węże, jeden pierzasty, a drugi wodny, oplatają kwitnące drzewo, w środku którego znajduje się znak oka). Na tej podstawie można przyjąć, że kwitnące drzewo stanowi tak metaforyczne



przedstawienie pisma, malowanej księgi, którą wytworzono dzięki dwóm procesom związanym z jej zapisywaniem oraz odczytywaniem. Sam proces zapisywania kojarzony był w tym systemie metafory z osobą *Tlaloca*, boga deszczu i burzy. Odczytywanie pisma było związane z Quetzalcoatlem, pierzastym wężem, bogiem wiatru. Te dwa naturalne procesy – wznoszenia się dymu ku górze i opadania deszczu na dół – zostały wykorzystane przez kapłanów do skonstruowania systemu metaforycznego przedstawienia związków pomiędzy mową a pismem. Powyższy dualizm wręcz przenika każde dzieło sztuki oraz literaturę tworzoną w dawnym Meksyku. Kończąc więc, można stwierdzić, iż badając ikonografię kultur przedkolumbijskich Meksyku z perspektywy przedstawionej na samym początku artykułu, trzeba dojść do wniosku, że oto podstawowa wizja kosmosu w Mezoameryce zdecydowanie była tworzona przez system metafor odnoszących się do mowy i pisma.

Danuta Zielonka, Krystyna Żygało Święto muzyki w Barczewie

W dniach 27-29 maja bieżącego roku odbył się w Barczewie IX Międzynarodowy Festiwal Muzyki Chóralnej im. Feliksa Nowowiejskiego. To jedno z najważniejszych wydarzeń kulturalnych na Warmii i Mazurach, które wpisało się już na stałe do kalendarza imprez regionalnych i odbywa się w naszym mieście cyklicznie od dziewięciu lat. **Twórcami i realizatorami Festiwalu jest Stowarzyszenie Inicjatyw Obywatelskich w Barczewie**, partnerami: Urząd Miejski w Barczewie, Parafia Rzymskokatolicka pw. św. Anny w Barczewie, Warmińsko-Mazurska Filharmonia im. Feliksa Nowowiejskiego w Olsztynie, Szkoła Podstawowa nr 1 im. Feliksa Nowowiejskiego w Barczewie, Centrum Kultury i Promocji Gminy w Barczewie oraz Telewizja Kablowa „Macrosat” w Barczewie.

Dyrektorem Organizacyjnym Festiwalu była Danuta Zielonka, zaś jego dyrektorem artystycznym – prof. Benedykt Błoński. W tegorocznym jury festiwalowym zasiadali: prof. Marcin Tomczak (przewodniczący), prof. Dariusz Dyczewski oraz prof. Benedykt Błoński. Każdorazowo na imprezę przyjeżdżają goście honorowi: syn kompozytora, Jan Nowowiejski, oraz jego żona Nina.

Głównym celem Festiwalu jest upamiętnienie postaci i twórczości Feliksa Nowowiejskiego. Ten wielki patriota urodził się w Barczewie, skomponował „Rotę” i „Hymn Warmii”, a jego działalność była istotnym czynnikiem kształtowania polskiej świadomości na ziemiach północnych. Festiwal promował również zachowanie dziedzictwa kulturowego poprzez popularyzację kompozycji chóralnych *a cappella* oraz dzieł oratoryjnych Nowowiejskiego. Całość (podobnie jak poprzednie edycje) odbyła się pod hasłem „Głos ludzki – najdoskonalszy instrument muzyczny”.

Pierwsza edycja Festiwalu odbyła się w 2002 r. i była skierowana wyłącznie do chórów polskich. Już od następnego roku formuła imprezy zmieniła się – obecnie festiwal ma zasięg międzynarodowy i biorą w nim udział chóry amatorskie z całej Polski oraz z krajów Europy i świata. Przez siedem lat uczestnicy zgodnie z regulaminem prezentowali program złożony wyłącznie z pieśni religijnych różnych epok i stylów oraz z jednego utworu Feliksa Nowowiejskiego. Od 2009 r. regulamin zmieniono i obecnie można wykonywać również utwory świeckie. Zapraszając na nasz Festiwal chóry zagraniczne – wykonawców muzyki Feliksa Nowowiejskiego – chcemy podkreślić międzynarodowy charakter naszego regionu. Ukazać niezwykły obraz dziedzictwa miejsca i czasu tych małych ojczyzn, w których artyści żyli i tworzyli swoje dzieła.

W czwartek 27 maja chóry w strojach galowych zebrały się przed pomnikiem Feliksa Nowowiejskiego na placu przy Szkole Podstawowej nr 1 w Barczewie i tam odbyło się uroczyste otwarcie Festiwalu. Zespoły powitali Lech Jan Nitkowski oraz Danuta Zielonka. Po złożeniu wiązańki kwiatów przed pomnikiem i odśpiewaniu „Roty” chórzyści przeszli ulicami miasta – to już tradycja, kultywowana od pierwszej edycji festiwalu. Przemarsz uatrakcyjniły pieśni wykonywane przez poszczególne chóry. Następnie uczestnicy festiwalu zatrzymali się przy Salonie Muzycznym im. Feliksa Nowowiejskiego (domu, w którym urodził się kompozytor) – i tu zostali powitani chlebem i solą przez najmłodszego syna kompozytora, Jana. W tym miejscu

wszystkie chóry dyrygowane przez prof. Benedykta Błońskiego zaśpiewały „Hymn Warmii”. Spod Salonu Muzycznego wszyscy zebrani udali się do kościoła św. Anny w Barczewie, gdzie Jan Nowowiejski oficjalnie otworzył IX Międzynarodowy Festiwal Muzyki Chóralnej im. Feliksa Nowowiejskiego. Wtedy też odbył się koncert inauguracyjny pt. „Od Chopina do Nowowiejskiego” w wykonaniu Chóru Mieszanego Warmińsko-Mazurskiej Filharmonii im. Feliksa Nowowiejskiego w Olsztynie pod batutą Benedykta Błońskiego.

28 i 29 maja miały miejsce przesłuchania konkursowe w kościele św. Anny w Barczewie, podczas których wysłuchano programów jedenaśtu chórów. W ramach Festiwalu w Salonie Muzycznym im. Feliksa Nowowiejskiego w Barczewie zorganizowano IX Międzynarodową Sesję Naukową ph. „Warmia i Mazury w twórczości muzycznej” pod kierownictwem dr. Krzysztofa Szatrawskiego. Tematem przewodnim tegorocznej sesji była „Muzyka romantyczna od Fryderyka Chopina do Feliksa Nowowiejskiego”. W czasie sesji odbył się recital fortepiano-wy Jana Nowowiejskiego, który z wielką wrażliwością zagrał utwory swego ojca. Wystąpił również kwartet smyczkowy AVISTA z utworami Fryderyka Chopina i Karola Szymanowskiego. W czasie Festiwalu przybyłe chóry dały łącznie dwadzieścia dziewięć koncertów, które swoim zasięgiem objęły gminę Barczewo i cały powiat olsztyński, a wychodząc poza jego granice, dotarły także do Świętej Lipki. Skierowane były głównie do dzieci i młodzieży szkolnej, która w ten sposób miała okazję w większym stopniu poznać muzykę *a cappella*. Koncerty te w przeważającym stopniu odbyły się w kościołach i były organizowane wspólnie ze szkołami. Ponadto w Zakładzie Karnym i Zakładzie Poprawczym w Barczewie odbyły się koncerty za założenia resocjalizacyjne. Tradycyjnie w trzecim dniu Festiwalu, po przesłuchaniach konkursowych, odbyło się ognisko integracyjne (w tym roku w Ośrodku Wypoczynkowo-Szkoleniowym „Stary Folwark” w Tumianach), w którym wzięło udział ponad 450 osób, w tym niepełnosprawni i chorzy.

Grand Prix IX Międzynarodowego Festiwalu Muzyki Chóralnej im. Feliksa Nowowiejskiego Barczewo 2010 zdobył Chór „Ars Cantandi” Uniwersytetu Ekonomicznego we Wrocławiu z dyrygentem Anną Grabowską-Borys.

W tym roku przypadła 100. rocznica skomponowania i wykonania „Roty” oraz 90. – „Hymnu Warmii” Feliksa Nowowiejskiego. Z tych to okazji rok 2010 na terenie gminy Barczewo i powiatu olsztyńskiego został ogłoszony „Rokiem Feliksa Nowowiejskiego”, zaś przesłuchania konkursowe, które trwały dwa dni, rozpoczęto „Rotą”, a kończono „Hymnem Warmii”. Członkowie Stowarzyszenia Inicjatyw Obywatelskich w Barczewie zorganizowali również trzy wystawy na temat życia i twórczości Feliksa Nowowiejskiego oraz poprzednich edycji Festiwalu. Jedna wystawa znajdowała się w Starostwie Powiatowym w Olsztynie, druga w Salonie Muzycznym im. Feliksa Nowowiejskiego w Barczewie, trzecia podczas Festiwalu – w kościele św. Anny w Barczewie, a obecnie znajduje się w siedzibie Stowarzyszenia i Banku Spółdzielczym w Barczewie. *Post factum* wydano folder w języku polskim i języku angielskim, jak również zaplanowano publikację zeszytu z sesji naukowej (podobnie jak w latach ubiegłych).

Agnieszka Obrębska

Dział Wydawniczy Społeczno-Kulturalnego Stowarzyszenia „Pojezierze”

Do 1956 roku na wydawniczej mapie Polski Olsztyn praktycznie nie istniał. Ruch wydawniczy rozbudzony w 1945 roku przez Spółdzielnię Wydawniczą „Zagon” i wydawnictwa Instytutu Mazurskiego szybko został zahamowany centralizacją w 1949 roku. Publikacje lat 1945-1955 zdaniem Henryka Panasa „nie były wyrazem żadnej planowej polityki wydawniczej wobec regionu, a tylko dziełem przypadku, dobrej woli lub w najlepszym razie przejawem poczucia obowiązku” (*Problemy wydawnicze*, „Warmia i Mazury”, 1965, nr 3, s. 1). Z Olsztynem w stopce wydawniczej pojawiło się w tym czasie siedemdziesiąt jeden publikacji. Dopiero w lipcu 1955 roku na zebraniu konstituującym Oddział Związku Literatów Polskich w Olsztynie Władysław Gębik zgłosił postulaty wydawnicze, w których widział konieczność przeprowadzenia studiów z zakresu historii oraz kultury Warmii i Mazur, opracowania życiorysów pisarzy ludowych, jak również zebrania baśni i legend regionalnych dla potrzeb młodych czytelników. Do zrealizowania tych postulatów niezbędne, zdaniem autora, było powołanie instytutu wydawniczego, który zagwarantowałby rozwój ruchu wydawniczego w Olsztynie.

Naprzeciw postulatowi Władysława Gębika wyszło powstałe 27 listopada 1956 roku Stowarzyszenie Społeczno-Kulturalne „Pojezierze”. W deklaracji programowej pióra Andrzeja Wakara stwierdzono: „Pojezierze postawiło sobie za cel główny krzewienie w społeczeństwie Warmii i Mazur miłości do regionu, który stał się tego społeczeństwa ojcowizną. Ukochanie tej ziemi, jej historycznych tradycji, jej krajobrazu, jej folkloru – to niewątpliwie jeden z mocnych węzłów wiążących na stałe z regionem tych, którzy tu przybyli. Niezbędne jest przy tym stworzenie dalszych więzi łączących różne grupy tu zamieszkujące – Warmiaków i Mazurów oraz przybyszów z Wileńszczyzny, z Podlasia i z Mazowsza. A więc integracja ludności w życiu społecznym, wynikająca z umiłowania ziemi, na której się osiadło. Stabilizacja, integracja, aktywizacja. Cele swe osiągnąć pragnie przez kształtowanie świadomości społecznej przy pomocy wydawnictw książkowych i periodycznych” (*Z prac wydawnictwa olsztyńskiego „Pojezierza”, „Warmia i Mazury”, 1974, nr 8*).

Od samego początku Stowarzyszenie największy nacisk położyło na wydawanie periodyków – „Panoramy Północy” oraz „Warmii i Mazur”. Koncepcja oparcia całej działalności „Pojezierza” na wydawaniu dochodowego pisma szybko uległa przewartościowaniu. Oba pisma – pierwsze w 1961, drugie w 1967 roku – podporządkowane zostały pod względem finansowym i organizacyjnym RSW „Prasa-Książka-Ruch”. Niezależnie od działalności związanej z wydawaniem czasopism 17 lutego 1957 roku członkowie Zarządu Głównego podjęli uchwałę o utworzeniu Działu Wydawniczego Stowarzyszenia Społeczno-Kulturalnego „Pojezierze”. Powołanie wydawnictwa książkowego w Olsztynie miało dać szansę rozwoju środowiska literackiego, naukowego i kulturalnego.

W początkowym okresie sytuacja Działu Wydawniczego zarówno pod względem organizacyjnym, jak i programowym, była niestabilizowana. Profil wydawnictwa został określony w aktach prawnych powołujących Stowarzyszenie. Podstawę działalności miała stanowić zasada wydawania książek tematycznie związanych z regionem Warmii i Mazur. Był to jedyny zapis określający charakter publikacji. Przez pierwsze dziesięć lat Dział funkcjonował bez planu wydawniczego.

Stabilizacji nie osiągnięto również pod względem organizacyjnym. Dział Wydawniczy, będąc komórką Stowarzyszenia „Pojezierze”, podlegał Zarządowi Głównemu. Na czele Działu stał redaktor naczelny mianowany przez członków Zarządu Głównego. Do jego zadań należało reprezentowanie Działu przed zarządem, analiza i ocena tematyki oraz szaty graficznej książek i wydawnictw zleczanych, przydzielanie honorariów autorskich, a także sprawy personalne. Zadania i kompetencje redaktora naczelnego były bardzo szerokie, dlatego w ciągu dwunastu lat pojawiały się ciała doradcze. W 1960 roku redaktorowi Hieronimowi Skurpskiemu w doborze tematyki wydawnictw pomagał Władysław Ogrodziński, konsultant literacki. W tym samym roku tenże konsultant wysunął propozycję powołania komisji wydawniczej, która zajęłaby się ukierunkowaniem działalności wydawniczej. W jej skład weszli: Henryk Święcicki, Hieronim Skurpski, Władysław Ogrodziński, Andrzej Wakar, Edward Martuszewski, a więc osoby na co dzień związane z „Pojezierzem”. Zabrakło świeżego spojrzenia i w sumie działania komisji nie doprowadziły do racjonalnych rozwiązań.

Rok 1962 przyniósł kolejną próbę nakreślenia kierunku rozwoju Działu Wydawniczego. 24 listopada 1962 roku na walnym zebraniu Zarządu Głównego „Pojezierza” podkreślono, że działalność wydawnicza powinna zmierzać do wykształcenia fachowego aparatu edytorskiego niezbędnego do stworzenia regionalnego instytutu wydawniczego. Postulaty te zamierzano zrealizować poprzez: rozszerzenie pod względem ilościowym i tematycznym zakresu wydawnictw poświęconych regionowi, zwrócenie większej uwagi na publikacje prac mających bezpośredni wpływ na życie współczesne Warmii i Mazur, nawiązanie ścisłej współpracy z Fundacją Naukową im. Wojciecha Kętrzyńskiego i zapewnienie jej realizacji naukowych planów wydawniczych, kontynuowanie starań o dalszy wzrost poziomu edytorskiego wydawnictw zarówno pod względem technicznym jak i merytorycznym. Po raz kolejny postulaty pozostały jedynie na papierze, co oczywiście nie przeszkodziło w podejmowaniu kolejnych prób reorganizacji wydawnictwa.

W 1963 roku redaktor naczelny Henryk Panas powołał Radę Wydawniczą do opracowywania planów wydawniczych i nadzoru nad działalnością merytoryczną oraz finansową Działu. Zdaniem redaktora powinno umożliwić to skupienie się pracowników na działalności edytorskiej. W skład rady weszli: Edward Bernstein,

Janusz Jasiński, Tadeusz Lasikowski, Maria Losmann, Jerzy Mieloch, Halina Pietrulewicz, Stanisław Poznański, Leszek Prorok, Ignacy Sieradzan, Hieronim Skurpski, Bohdan Wilamowski i Marian Wiśniewski. Szeroko zakrojony skład rady, m.in. przedstawiciele Głównego Urzędu Kontroli Prasy Publikacji i Widowisk, Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej, Wyższej Szkoły Rolniczej, Komitetu Wojewódzkiego PZPR i Domu Książki, nie wpłynął na rozwój wydawniczy w Olsztynie.

Od stycznia 1965 do marca 1966 roku redakcja Działu znalazła się w bardzo trudnej sytuacji personalnej. Z funkcji redaktora naczelnego zrezygnował Henryk Panas. Zarząd Główny wyznaczył na pełniącego obowiązki redaktora naczelnego Leandra Gardzielewskiego, dotychczasowego redaktora technicznego. Aby wspomóc redakcję, powołano Kolegium Wydawnicze w składzie: Tadeusz Lasikowski – przewodniczący, Władysław Ogrodziński, Leander Gardzielewski i Wanda Korycka jako członkowie.

Zmiany redaktora naczelnego, poszukiwanie struktur, które spełniłyby swoją rolę, ciągła krytyka w prasie utrudniały działalność wydawniczą i wywoływały frustrację Zarządu Głównego, który po ośmiu latach funkcjonowania doszedł do wniosku, że prowadzenie Działu Wydawniczego należy powierzyć osobie o odpowiednich kwalifikacjach. Henryk Panas tak pisał o tej działalności: „O ile cały dotychczasowy dorobek wydawniczy można określić mianem przeorywania ugorów, z wieloma cechami pionierskimi, dyletanckimi i eksperymentalnymi, o tyle obecnie sytuacja już dojrzała do tego, aby następne lata przyniosły efekty właściwe planowej, profesjonalnej pracy edytorskiej” (*Problemy wydawnicze, „Warmia i Mazury”, 1965, nr 3, s. 2*)

16 marca 1966 roku funkcję kierownika Działu Wydawniczego „Pojezierza” i stanowisko redaktora naczelnego powierzono Andrzejowi Wakarowi. Już latem tego roku opracowany został ramowy plan wydawniczy na lata 1966-1970. Stałą pozycją w planie były publikacje OBN-u, na które przeznaczono 80 arkuszy wydawniczych. Drugim z punktów planu było ustabilizowanie produkcji na poziomie 250-300 arkuszy wydawniczych rocznie. Z celów szczegółowych zaplanowano wydawanie w serii *Monografii Miast Warmii i Mazur*, opracowań dotyczących powiatów: bartoszyckiego, biskupieckiego, elckiego, piskiego i węgorzewskiego. Ponadto zamierzano wydawać literaturę piękną, po dwa tomy prozy i poezji, jeden tytuł z pogranicza literatury pięknej i etnografii (baśnie, legendy) oraz jeden tom wspomnień. Zamierzano opublikować popularną historię Warmii i Mazur dla młodzieży, biografie literackie znanych osobistości związanych z regionem. Nie podejmowano się natomiast wydawania albumów ze względu na skromne możliwości edytorsko-techniczne Działu Wydawniczego. Wszystkie pozycje musiały być związane tematycznie z regionem warmińsko-mazurskim. Tak zorganizowany plan pozwolił na wydzielenie dwóch kierunków działalności: pierwszy – literatura piękna, drugi – literatura popularnonaukowa i naukowa, realizowany przy współpracy z pracownikami naukowymi OBN-u. Dzięki takiemu rozdzieleniu pracy łatwo było stworzyć dwie merytoryczne redakcje. W 1967 roku Zespół Działu Wydawniczego podzielono na trzy redakcje: literatury pięknej – kie-

rowanej przez Swietlanę Kruk, literatury popularnonaukowej – pod zarządem Marii Lossman, i techniczną – dowodzoną przez Leandra Gardzielewskiego.

Do 1966 roku Dział Wydawniczy „Pojezierze” wydał 80% wszystkich publikacji, dotyczących Warmii i Mazur. Kolejnym zamierzeniem nowego redaktora było rozwinięcie działalności tej instytucji do takiego stopnia, aby mogła ona bez większych trudności ogarnąć całą produkcję wydawniczą na terenie województwa olsztyńskiego. Aby można było tego dokonać, zdaniem redaktora Wakara, niezbędna była poprawa warunków pracy działu, a przede wszystkim zapewnienie mu zwiększonych środków finansowych. Dotychczasowa działalność oparta była wyłącznie na funduszach Stowarzyszenia. Wyjściem z sytuacji miało być utworzenie rady wydawniczej, która sprawowałaby nadzór nad merytoryczną i finansową działalnością wydawniczą, ale także wzmocnienie obsady kadrowej.

Dział Wydawniczy do końca 1972 roku nie posiadał formalnego zezwolenia na działalność gospodarczą w formie wyodrębnionej działalności wydawniczej. Po ustabilizowaniu sytuacji kadrowej i określeniu planu wydawniczego przystąpiono do prac nad usamodzielnieniem się Działu Wydawniczego. W tym celu opracowano statut wydawnictwa, pozytywnie przyjęty przez Zarząd Główny „Pojezierza”, Polskie Towarzystwo Wydawców Książek oraz zaakceptowany przez Departament Wydawnictw Ministerstwa Kultury i Sztuki.

Zarząd Główny wystąpił do Ministerstwa Finansów o zezwolenie na prowadzenie działalności gospodarczej, a co za tym idzie – uzyskanie dla wydawnictwa oddzielnego konta bankowego, stworzenie odpowiednich aktów prawnych, by wydawnictwo mogło korzystać z funduszu umorzeniowego, oraz wyodrębnienie planu finansowego tak, aby fundusz osobowy i bezosobowy był proporcjonalny do produkcji wydawniczej. Jednym z wymogów było powołanie rady programowej z zadaniem przedstawienia rocznych planów wydawniczych do 30 kwietnia każdego roku.

Wszystkie powyższe działania spowodowały, że 9 maja 1968 roku Prezydium Zarządu Głównego Stowarzyszenia Społeczno-Kulturalnego „Pojezierze” podjęło uchwałę o przejściu Działu Wydawniczego z dniem 1 stycznia 1969 roku na samodzielny rachunek gospodarczy. Uchwała doczekała się realizacji dopiero 13 maja 1972 roku w piśmie Ministra Finansów oraz Ministra Kultury i Sztuki, które zezwalało na zatwierdzenie statutu Wydawnictwa „Pojezierze”. 10 listopada 1972 roku Minister Kultury udzielił Stowarzyszeniu koncesji na prowadzenie działalności wydawniczej podporządkowanej Naczelnemu Zarządowi Wydawnictw. Prezydium Zarządu Głównego Stowarzyszenia od 1 stycznia 1973 roku wyodrębniło ze swych struktur Wydawnictwo „Pojezierze” jako przedsiębiorstwo działające na zewnętrznym rachunku gospodarczym z własną osobowością prawną, dającą możliwość samodzielnej działalności edytorskiej.

W ciągu szesnastu lat funkcjonowania Działu Wydawniczego „Pojezierze” jego nakładem ukazały się dwieście trzydzieści trzy tytuły.



STYGMATYCY I BIBLIOPACI

Waldemar Tychek

Kiedy czytamy, że w XVII wieku usiłowano bukinistów francuskich zmuszać (zmusić) za pomocą dekretów do nauki czytania i pisania, grożąc odebraniem koncesji, trudno nam to pojąć. Tak bardzo zżyliśmy się z przeświadczeniem, że ktoś, kto ma do czynienia z książką, umiejętność czytania „wyssał z mlekiem matki”. Zjawisko owego analfabetyzmu było powszechne i dopiero stałe obcowanie z książką, jej umiłowanie, wyposażało w wiedzę niejednokrotnie dorównującą dyplomowanym księgarzom. Antykwariusz, który we wszystkich słownikach jest trywialnie określany jako sprzedawca antyków, używanych przedmiotów i książek, został – na szczęście – w naszej kulturze postawiony (za sprawą choćby wspomnień Zbysława Arcta, Ambrozego Grabowskiego czy też Estreicherów) tuż obok księgarzy, bibliofilów i kolekcjonerów. To trudna profesja. Wymagająca bolesnych kompromisów, bo przecież z jednej strony czule pielęgnowana przez lata miłość do książek, z drugiej natomiast zgoda na „kramarską jej wyprzedaz”. Skąd bierze się ta niezachwiana wiara, że wszystko, co przemija, należy zachować i dzielić się tym z innymi? Jak powiedział Stefan Połom nad grobem olsztyńskiego księgarza i antykwarysty Wojciecha Suświły – *amor librorum nos unit* (Miłość do książek nas jednoczy). I to właśnie jest ta wiara. W latach siedemdziesiątych, kiedy z niezującym już Jurkiem Ignaciukiem odwiedzaliśmy Antykwariat „Antokolu” przy ul. 22 Lipca (obecnie 11 Listopada), pan Wojtek uśmiechał się lekko na nasz widok i mawiał: „O, przyszli »książkolubni«!”. I choć nasze wizyty nie wpływały znacząco na obrót antykwariatu, to nie sposób zapomnieć wszystkich pogawędek, jakie „stoczyliśmy”. I – co ważne – można było zajrzeć za kotarę, gdzie leżały same rarytasy! To właśnie w „Antokolu” miałem szczęście zetknąć się z prawdziwym „księgarskim stygmatykiem”, jakim był pan Wojtek. O ludziach takich mówiło się, że potrafią za pomocą „wewnętrznego oka” dostrzec choroby i przypadłości każdej książki, jakby, znalazłszy się w ich rękach, im właśnie się skarżyły. Mówiło się też, że każdy taki „stygmatyk”, zaglądając do środka, nie przewraca kartek, a „rozczesuje stronicę”, głaszcze okładki, potrafi grzbietom dać wzmocnienie, a nawet nastawiać kręgi niczym jakiś uświęcony „kręgarz dusz”. Każda zagięta kartka to jak przeciągnięcie kawałkiem styropianu po szkle, a bezmyślne bazgroły to stępione wiertło do borowania w rękach „bibliopaty”. Jedyne znaki (oprócz oczywiście odręcznych notatek znanych właścicieli, które jednocześnie podnoszą wartość dzieła) godne wybaczenia, to te, które mówią, że książka służyła pracy umysłowej. Tylko tacy, jak pan Wojtek, „stygmatycy” mogli wiedzieć, że autorem anonimowej broszurki z 1870 roku, zatytułowanej *Tajemnice Krakowa*, spisanej przez samego Lucypera i dewotkom krakowskim w dowód uznania ich zasług dedykowane, był sam Karol Estreicher, a pierwsze wydanie *Sztuki obłapiania* Aleksandra Fredry ukazało się w trzystu imiennie numerowanych egzemplarzach. „Antykwariusz powinien posiadać wiedzę rozleglejszą i bardziej pogłębioną niż jego kolega w księgarni” – pisał w swoich *Gawędach o księgarzach* Zbysław Arct i ta opinia jak szykowna marynarka idealnie pasowała do osoby pan Wojtka. Dzisiaj zarówno po

nim jak i po „Antokolu” pozostały już tylko wspomnienia. A ten obraz nieco mrocznego i długiego pomieszczenia antykwariatu w samym sercu Olsztyna przywołuje inne, równie przepelnione mgiełką tajemnicy, miejsce znane z powieści Carlosa Luisa Zafona *Cień wiatru*, gdzie w Magazynie-Cmentarzu Zapomnianych i Niechcianych Książek czeka na każdego ta jedna, jedyna, którą możesz ocalić od zapomnienia, a ona w zamian odmieni twoje życie.

Drugim „stygmatykiem” jest niewątpliwie Zbigniew Galon, który właścicielem antykwariatu „Silva Rerum” stał się w 1990 roku, po prywatyzacji „Domu Książki”. Z miejsca zajmowanego niegdyś przez księgarnię taniej książki, handlującą głównie używanymi podręcznikami, uczynił azyl dla jednego z największych w Polsce zbioru wydawnictw poświęconych życiu i twórczości Aleksandra Fredry. W historii „Silva Rerum” było kilka znaczących epizodów związanych z bibliofilskimi transakcjami, jak np. sprzedaż wydanej w 1594 roku *Historii* Herodota, czy też ostatni komisowy nabytek pana Zbigniewa – *Biblia* Lutra, pochodząca z 1770 roku. W roku 1996 maleńki antykwariat przy ul. Grunwaldzkiej przeżył prawdziwe obłędnie mediów regionalnych i ogólnopolskich, a to za sprawą najcenniejszego nabytku – trzech młodzieńczych listów Mieczysława Karłowicza do ojca. Korespondencja ta jakimś cudem uchowała się przed desperacką decyzją matki kompozytora, która, po jego tragicznej śmierci pod Małym Kościelcem w Tatrach, spaliła wszystkie, będące w jej posiadaniu, listy syna. Te trzy listy były największą na owe czasy w Polsce sensacją rynku antykwarycznego.

Olsztyn w zasadzie nigdy nie był atrakcyjnym rynkiem starej książki, a i tak pożądane przez antykwarystów środowisko bibliofilskie, pomimo wysiłków Wojciecha Suświły, do dnia dzisiejszego się nie ukształtowało. Jedyna jak dotąd aukcja antykwaryczna, zorganizowana w 1986 roku przez właściciela „Antokola”, przyciągnęła do Olsztyna około setki prywatnych kolekcjonerów i przedstawicieli większych bibliotek (z Biblioteką Narodową i Jagiellońską na czele) z całej Polski. Na aukcji zostały wystawione 1463 pozycje, w tym wydawnictwa zwarte z XIX i początków XX wieku, wydawnictwa ekslibrisowe, starodruki, mapy, atlasy, plany oraz druki ulotne. Najwyższą cenę katalogową (180 tys. zł) osiągnęła pozycja Johanna Ulricha Krausena *Historische Bilder=Bibel...*, wydana w Augsburgu w 1705 roku, jednak jej cena odstraszyła potencjalnych nabywców. Natomiast pozycja *Wzory sztuki średniowiecznej i z epoki Odrodzenia pod koniec wieku XVII w dawnej Polsce* Aleksandra Przeździeckiego i Edwarda Rastawieckiego, pomimo wysokiej wyceny (90 tys. zł), została kupiona po cenie katalogowej przez filię uniwersytetu w Białymstoku. Najbardziej poszukiwanym jednak okazał się miesięcznik „Horyzonty”, którego niektóre numery uzyskały w licytacji nawet kilkanaście tysięcy złotych, a nabywcą większości z nich został oddział PAN w Gdańsku. Aukcja zakończyła się więc sukcesem zarówno organizacyjnym jak i finansowym. Niestety była też aukcją ostatnią.

Krzysztof Dariusz Szatrawski

Przełomowy sezon Filharmonii
Warmińsko-Mazurskiej

Akordy *Koncertu e-moll* Fryderyka Chopina otworzyły 10 września nowy sezon artystyczny Orkiestry Filharmonii Warmińsko-Mazurskiej. Wybór *Koncertu e-moll op. 11* jest również znaczący, co nieprzypadkowy, z jednej strony Rok Chopinowski i XVI edycja Konkursu Chopinowskiego, z drugiej wyraźnie zarysowane w planach koncertowych ukierunkowanie na wielki repertuar symfoniczny i to raczej romantyczny i XX-wieczny niż klasyczny. Rozmach otwierającego sezon wieczoru przekonuje, iż olsztyńska orkiestra pod dyktando Janusza Przybylskiego rozwija skrzydła.

Jako solistka wystąpiła Beata Bilińska, która zaproponowanej wizji chopinowskiego dzieła nadała wyraźnie osobiste rysy. Zrównoważony temperament i skłonność do subtelnej emfazy to cechy sprawiające, że osobowość artystyczna solistki w koncercie Chopina mogła zabłysnąć pełnią blasku. Przeciwwagą pełnego życia, optymistycznego koncertu stał się zagrany na bis *Nokturn f-moll op. 68 nr 4*, w którym artystka zbudowała mroczną wizję depresji, niepewności i zwątpienia. Niewątpliwie był to występ, o którym długo dyskutowano tego wieczoru.

W drugiej części koncertu orkiestra wykonała *V Symfonię d-moll op. 47* Dymitra Szostakowicza. Potężne, ekspresyjne i doskonale skomponowane dzieło domaga się od wykonawców nie tylko precyzji, ale także pełni symfonicznego brzmienia, które jest warunkiem ekspresji i osiągnięcia zamierzonego przez kompozytora oddziaływania emocjonalnego. Janusz Przybylski potrafi stopniować napięcie w sposób niezwykle dyskretny, prowokując odwagę muzyków i wzruszenie słuchaczy. Inaugurując sezon interpretacją *V Symfonii* Szostakowicza oparł na perfekcyjnej artykulacji i dynamice, co sprawiło, że porwana emocjonalnie publiczność zmusiła orkiestrę do bisowania.

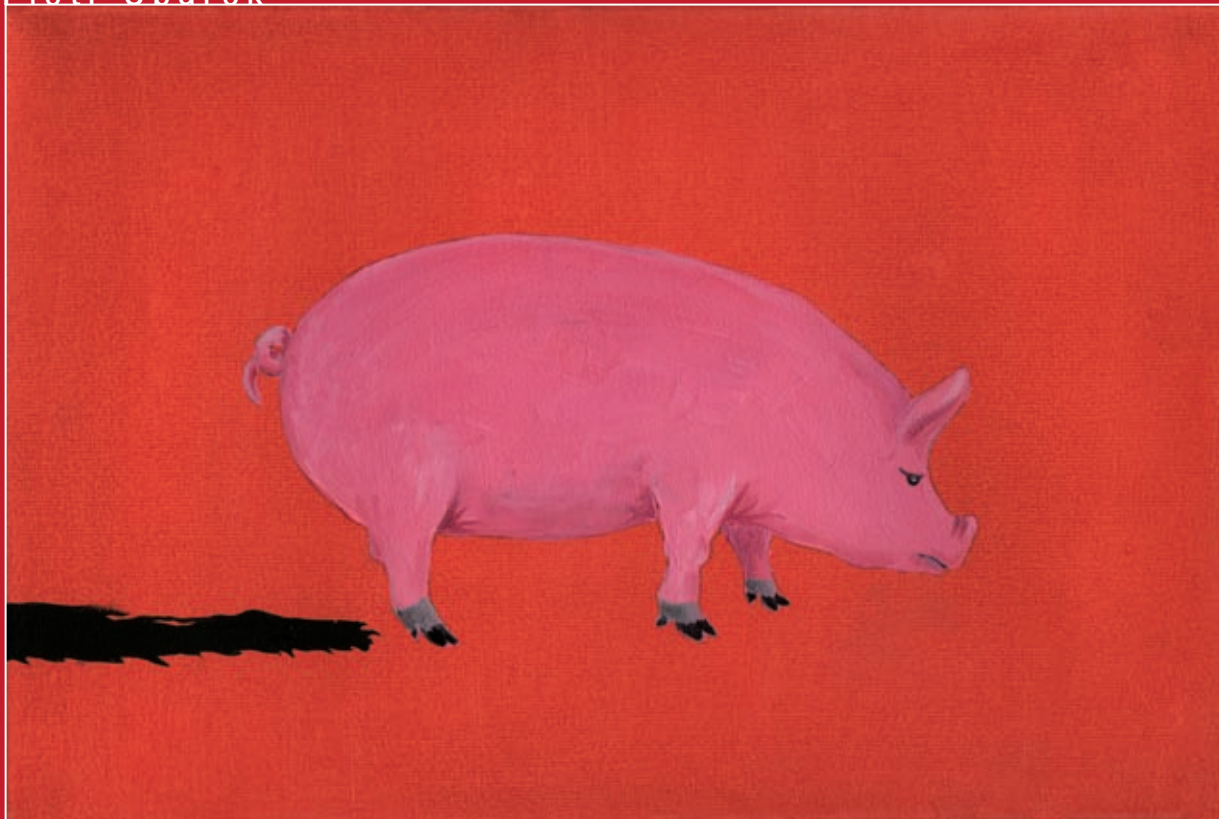
Kolejne koncerty nowego sezonu zapowiadają się niezwykle ciekawie. Obiecujące wydają się koncerty poświęcone muzyce romantycznej – zarówno Chopinowi, jak również Schumannowi i Czajkowskiemu. Nie zabraknie też największych nazwisk innych epok, Bacha, Albiniego, Beethovena, jednak romantyzm i muzyka XX stulecia wyraźnie zdominują repertuar w tym sezonie.

W zapowiedziach można znaleźć między innymi *I Koncert fortepianowy b-moll* i *Symfonię „Manfred”* Piotra Czajkowskiego, *Koncert skrzypcowy d-moll op. 14* Gabriela Faurégo, *Poemat symfoniczny „Amerykanin w Paryżu”* George'a Gershwina, *Koncert fortepianowy* Michała Spisaka, *Tańce symfoniczne* Edvarda Griega. Obok dyrygentów polskich wystąpią również goście zagraniczni, a także Orkiestra Kameralna Miasta Kłajpedy. Z pewnością wydarzeniem o wielkiej randze stanie się wykonanie *Requiem polskiego* pod batutą kompozytora Krzysztofa Pendereckiego.

Najważniejszym wydarzeniem tego sezonu będzie otwarcie nowej siedziby olsztyńskiej orkiestry. Po 65 latach tułaczki zespół olsztyńskich filharmoników otrzyma w końcu własną siedzibę, w której znajdą się sale prób, garderoby, przestrzeń niezbędna do przygotowania nowoczesnych prezentacji i własna sala koncertowa, która pod względem rozmiarów i funkcjonalności pozwoli muzykom na funkcjonowanie skuteczniejsze niż miało to miejsce kiedykolwiek wcześniej.

Jaki będzie ten sezon, można przewidywać, jednak zamiast bać się we wróżby, lepiej z góry określić, czego olsztyńscy melomani mogą oczekiwać. Będzie to sezon trudny i zarazem owocny. I chciałbym wierzyć, że trudny tylko do momentu przeniesienia do własnej siedziby. Kiedy jednak nastąpi oficjalna przeprowadzka muzyków do nowego gmachu, pozostanie już tylko oczekiwać na owoce. Orkiestra w nowych warunkach będzie dawać z siebie więcej, co przyczyni się do podniesienia oczekiwań publiczności i generalnie wzrostu standardów olsztyńskiej muzyki. W historii orkiestry cyklicznie można było zaobserwować podobne zjawiska i nie należy się im dziwić. Równowaga artystyczna jest stanem pożądanym, lecz niezwykle trudnym do osiągnięcia. Najlepsze na świecie zespoły oscylują wokół punktu idealnego, a jednak całkowitej stabilizacji nigdy nie osiągają. Może nie istnieje sztuka bez pokonywania własnych słabości i bez ryzyka porażki. A może artystą jest ten, kto potrafi przekonać odbiorcę, że wspólnie poszukując tej równowagi, wraz z nią mogą odzyskać utraconą część swego człowieczeństwa.

Piotr Obarek



Bez tytułu
olej płótno
21 x 30 cm
2007



Z czerwonym do twarzy
olej płótno
100 x 140 cm
2007